

AS



Nr 50

13 GRUDNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY



UŚMIECHY
NA „DZIEŃ DOBRY”

Gertruda Niesen z wytwórni
„Universal Pictures”

AUTOBUS WYNAŁAZCÓW

W bieżącym roku wygaś patent na zatrask błyskawiczny. — Pierwszy wynalazca go Niemiec (?) Poduschka, ale pomimo zgłoszenia patentu umarł, nie uzyskawszy grosza. Dopiero Szwed, Sunback w 1905 r. wykańcza pomysł Poduschki i uzyskuje patent. Jak znaczny przemysł rozbudował się na tym patencie widzimy z tego, że w samych Niemczech wyrabia ten zatrask 10 fabryk z roczną produkcją aż za 8,000.000 m!

A teraz coś o Edisonie: Bezwzględna zasługa jego jest wykonanie pierwszej praktycznej żarówki. Jednakże pierwszą myśl świecenia za pomocą rozżarzonej sztabki węgla powziął w 1838 r. Johard w Brukseli, a wykonał tę myśl parę lat później jego uczeń Chagny. Żarówkę z platynowym drucikiem zademonstrował Grove w 1840 r. — Edison też był tym, który pierwszy założył elektryczną instalację oświetleniową. Działo się to w 1879 r. kiedy oświetlił 115 żarówkami parowiec „Columbia”. New York to synteza USA, a jednak do tego miasta mogłyby Niemcy zgłosić pretensje. Miasto zostało bowiem założone przez Niemca Minnewita (co prawda z polecenia Holendrów). I wogóle to, że St. Zjednoczone mówią po angielsku, a nie po niemiecku, to przypadek tylko! W 1774 r. było na terenie St. Zjedn. 3,50 miliona mieszkańców, z tego połowa Niemców. — By usunąć sprzeczki co do języka urzędowego, kongres w dniu 14. IX. 1774 zarządził głosowanie. Wniosek za językiem angielskim przeszedł większością 1 głosu i to... Niemca! — Kraje anglosaskie to wiadomo, ojczyzna zbieraczy-dziwaków. W Philadelphii był taki pan Roger, który zbierał fotografie specjalnie brzydkich i zniekształconych ludzi. W miarę zbierania robi się z niego coraz większy odludek, aż wreszcie zwarjował. Mniej niebezpieczną manję ma niejaki Mr. Eatling z Avonmane. Zbiera banknoty i zbiór jego obejmuje już 27.000 różnych obiektów — będąc jedynym na świecie. — Najstarszy jego banknot pochodzi z Chin i liczy 600 lat; drukowany jest na liściu drzewa.

Gdy mówimy o banknotach i Stanach Zjednoczonych, przypominają się tamtejsze napady, gangsterzy etc. To też słusznym jest, że tam właśnie istnieje firma „Acme Protection Equipment Co”, której celem jest opancerzanie osobowych aut od kul i wypadków.



Największy odłam zbieraczy świata to oczywiście filateliści. Komitet olimpijski w Berlinie, przewidział natłok amatorów na marki z igrzysk olimpijskich i urządził specjalnie sprawną obsługę pocztową: dziennie wpływało do 100.000 pisemnych zamówień na marki. Jeden klient tylko zamówił 46.000 kart ostemplowanych, inny 5.000 arkuszy marek, trzeci znów przedłożył w okienku naraz 9.000 listów poleceńskich do ostemplowania najróżniejszymi stemplami!

Dumni jesteśmy z naszej poczty, ale i starożytni umieli ją też zorganizować. Najdawniejsze daty mamy z Persji. Stworzona przez Cyrusa, wydoskonalona przez Dariusza, sieć kurjerów (Angara) funkcjonowała tak sprawnie, że na przykład z Suzy do Sardes wiadomość szła 6 dni. Gdy piszę to przypominam sobie, że za staro-greckich czasów

turystyka była rzeczą taną, bo podróż morzem z Grecji do Egiptu, kosztowała tylko 2 drachmy, t. j. około 6 zł. Tanio, ale niezbyt musiało być bezpiecznie, gdy się przypomni, że brzegi Morza Śródziemnego roity się od kryjówek rozbójników i najgorszych awanturników. W Rzymie za cesarskich czasów również doskonale rozbudowaną była poczta (Cursus publicus), ale tylko dla celów urzędowych. Wiadomość z Małej Azji do Rzymu szła wtedy tylko 20 dni.



Jak wiadomo, druk polega na zastosowaniu poszczególnych luźnych liter. Dziwnem a jednak prawdziwym, że już Rzymianie dawali swoim dzieciom, by ułatwić im naukę czytania, ruchomy alfabet, t. j. tabliczki, na których figurowała coraz to inna litera. Cicero proponował drukowanie, przez zastosowanie ruchomych liter. W Chinach dawno już „drukowano”, a raczej odbijano teksty wyróżnione na tabliczkach drewnianych. Najstarsza znaleziona „drukarnia” pochodzi z 770 roku.

Na czeźże polega zasługa Gutenberga? Oto na tem, że on dopiero dał to, co mogło rozwinąć się w nowoczesnym drukarstwie: ruchome z metalu odlewane litery, czcionki i powielanie mechaniczne. Dlatego to tyle wieków trzeba było czekać, aż w połowie XV w. w Moguncji zaczął drukować książki Imci Pan Jan Gensfleisch zum Gutenberg.

Mówiąc o druku, nie można chyba pominąć papieru, a przynajmniej początków jednego choć gatunku. Papier ze szmat, wykonany został po raz pierwszy prawdopodobnie w Samarkandzie w IX. w. przez niewolników chińskich. Ale skąd Chińczyk dostał się do Samarkandy? Poprostu onego czasu pobiło się dwóch czupurnych książąt Turkiestańskich między sobą. Jeden z nich dostał za silnie w skórę i polecał błagać cesarza Chin o pomoc. To się znów nie podobalo rezydentowi Abasydów w Chorasanie i posłał wojsko z Samarkandu, pod trudnym do wymówienia dowódcą Zijad-ibn-Saliha. Onże wódz, nad rzeczką Thoraz w gorącym miesiącu lipcu 851 r. przetrzepał wszystkich i przepędził aż poza granice Chin, a sam wrócił z chwałą i licznymi jeńcami (także Chińczykami) do Samarkandu. — Jak to często bywa — wśród niewolników znaleźli się mądrzejsi od zwycięzców (n. p. podczas wojny światowej we Francji wyrabiali ter-

metry lekarskie jeńcy niemieccy). W danym wypadku było trochę Chińczyków-papierników. Nie mając surowca używanego w Chinach, zaczęli oni wyrabiać papier ze szmat. Jakiś czas monopol utrzymał się przy Samarkandzie, by potem szybko dostać się na zachód. Pierwszą fabrykę papieru w Bagdadzie założono już w 794 r. Przedtem używano papyrusów, potem pergaminu, dopiero za Harun-al-Raszyda, jego minister w 794 r. polecił w kancelariach używać papieru, bo... chciał zapobiec widocznie licznym fałszerstwom. Na papyrusie lub pergaminie łatwo było bowiem wymazać pismo i coś innego napisać — na papierze trudniej. Z papierem więc łącząc się posmak Dalekiego Wschodu. Cóż to była za przygoda, taka podróż przez bajeczne kraje, trwająca miesiące! A dopiero rynek w Samarkandzie, gdzie spotykali się najlepsi opowiadacze fantastycznych historyj w najbardziej kolorowym otoczeniu, owiani mgłą tajemniczości! Czyż 1001 noc mogła o czym innym powiadać, jak właśnie o tych stronach?

O papierze do pakowania wspomina już w XI w. Pers Narisi Chosran w opisie podróży do Egiptu i powiada, że zakupione w bazarach Kairu przedmioty były zawijane w papier. W Europie najprzód wyrabiano go w Hiszpanji, potem we Włoszech, we Francji w XII w., w Anglii w XVI w., w Niemczech prawdopodobnie około XIII w.



Wiele dramatów przeżywa dusza kobiety, gdy nie może sobie pozwolić na jedwabną suknię lub nie może dostać jej od męża! Na pociechę powiem, że cesarz Aurelianus odmówił swej żonie jedwabnej szaty, bo — jak mówił — za kosztowna to rzecz dla jego kieski. A pierwszym wogóle który nosił płaszcz jedwabny był Cezar Heliogabal, około 200 r. — Karol Wielki swój cesarski płaszcz zaledwie mógł obramować paskami z jedwabiu, a ówczesni możni tego świata nieraz wzajemnie pożyczali sobie jedwabi, taki to był kosztowny materiał.

Nic dziwnego, bo tylko dalekie Chiny go dostarczały. Jedwab był otaczany taką tajemnicą, że nawet nie wiedziiano, jak się go wyrabia — przypuszczano, że rośnie na drzewach! Dopiero zakonnicy greccy w VI w. przywieźli z Chin kokony i wyjaśnili sprawę. Grecja jak mogła tak starała się utrzymać tajemnicę jedwabiu dla siebie, ale nie długo to jej się udawało, bo wkrótce wyrób jedwabiu przedostał się do Sycylii, Włoch, a w XIII w. do Francji.

Na zakończenie anegdotka z dziejów jedwabnictwa w Polsce.

Pewien ziemianin, p. Morawski, właściciel Łatoszyna k. Dębicy, powiedział sobie w połowie XIX w., że jego córka pójdzie do ślubu tylko w sukni z własnego jedwabiu! Oczywiście taki przewrotowy plan spotkał się z ogólnym brakiem uznania. Ale p. Morawski był uparty, i tak musiało być.

Zasadzono mąrwowe drzewa i chodowano jedwabniki. Gdy córka jego Ewelina zaręczyła się z p. Dunin-Brzezińskim, zebrał posiadany jedwab i posłał do fabryki, tak, że w 1865 r. panna młoda szła do ołtarza w sukni z własnego jedwabiu!

Jerzy Dołęga Lewandowski

zadzajcie bezpłatnego nadestania
bogatego ilustrowanego cennika zegarków i wyrobów jubilerskich
EMIL GOLDWASSER KRAKÓW UL. GRODZKA 25

Konkurs na najlepszą nowelę „Asa“.

ODPOWIEDZI SĄDU KONKURSOWEGO:

Aldous: Nowela pańska została przyjęta pod numerem 179 (As Nr. 47).

Milun Wet: Reklamacje pańska uwzględniono.

ASY NUMERU 50-GO:

„CZAPKA NIEWIDKA”
 W PRZYRODZIE.

Zagadnienie mimetyzmu, które od dawna interesowało wielu przyrodników — w świetle nowoczesnych badań. Str. 4-5.



CZARKA MARGRABIEGO
 BELLISOMI.

Nowy cenny nabytek zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie rozpoznany jako dzieło Jerzego Schwanhardta. Str. 6.



W OAZIE UCZLIWOŚCI...

Kraje Północy odznaczają się silnie ugruntowanym poczuciem własności, które przejawia się nieraz w oryginalnej dla nas formie. Str. 8.



LAUREACI POZNANIA.

O działalności artystycznej Jana Wroneckiego i Arkadego Fiedlera, odznaczonych nagrodami miasta Poznania. Str. 11.



GD WSKAZÓWKI SŁONECZNEJ DO ELEKTRYCZNEGO ZEGARA. Jakiej ewolucji uległ w ciągu wieków przyrząd do mierzenia czasu. Str. 12.



„LORD SHOCKING”.

Miłość króla Edwarda VIII i mrs. Simpson posiada w dziejach rodów panujących liczne analogie. Str. 14-15.



ELEANOR POWELL —
 KRÓLOWA TANCA.

Droga, którą kroczyła nieznaną „bathing-girl” do tronu najlepszej tancerki świata. Str. 16-17.



Panie, o których mówi Paryż:

MAGDA TAGLIAFERO.

Piękna Brazylijanka, która zdobyła sobie uznanie dla swej sztuki, ardy i elegancji. Str. 19.



„CIOTKA”.

Opowiadanie myśliwskie Feliksa Bangla. Str. 20.



Z teki muzycznej „Asa”:

NAM SŁÓW NIE TRZEBA...

Pieśń Bolesława Wallek-Wałewskiego. — Słowa St. Kamyka. Str. 22.

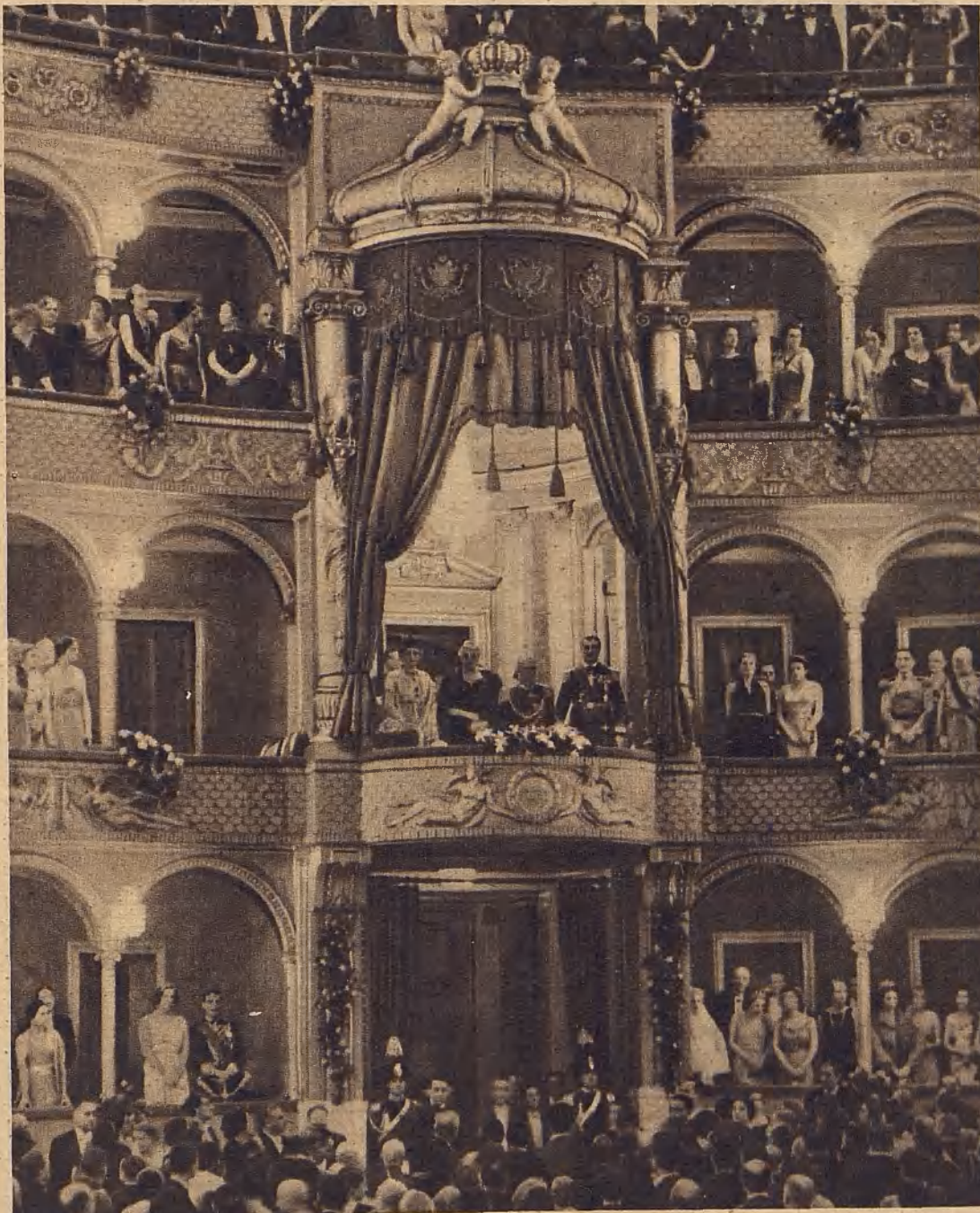


STRÓJ DOMOWY PIĘKNEJ
 PANI.

O przykazaniach mody, które obowiązują również i wtedy, gdy nas nikt obcy nie ogląda. Str. 26-29.



Powieść. — Nowela. — Kosmetyka. — Roboty ręczne. — Kaciki filatelistyczne. — Dział gospodarstwa domowego. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radiowy.



Fot. Wide World — Londyn.

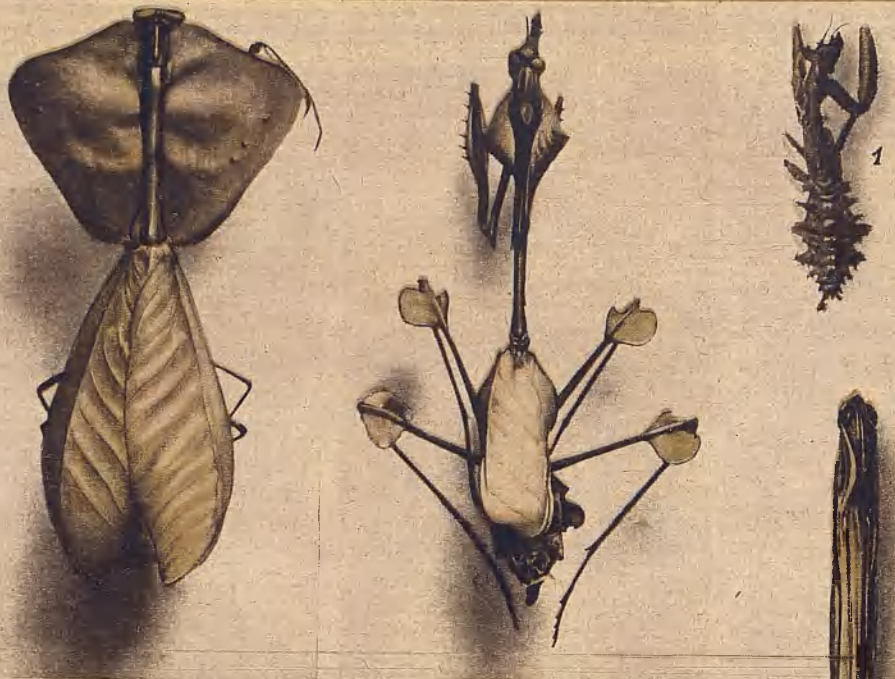
Pomimo, iż po wojnie światowej wszystkie państwa europejskie, opanowane ideologią prezydenta Woodrowa Wilsona i Ligi Narodów zarzekały się, że na przyszłość nie będą tworzyć żadnych bloków, stawiając ponad wszystko sprawiedliwość i solidarną współpracę, to jednak zapowiedzi te pozostały pustymi słowami. Oczywiście że tworzenie się nowych aljansów, mających zastąpić dawną Ententę oraz Trójprzymierze, nie następuje błyskawicznie. W ostatnich jednak czasach zarysowały się wyraźnie nowe tworzące się bloki: z jednej strony Francja i Rosja z drugiej Niemcy, Włochy, Austria i Węgry. Potwierdzeniem powstawania tych grup politycznych są ostatnie wydarzenia w związku z wojną domową w Hiszpanii a przynależność Węgier do bloku włosko-niemieckiego, została podkreślona wizytą regenta królestwa, admirała Horthy'ego w Rzymie. Na zdjęciu widzimy fragment opery królewskiej w Rzymie, a w środkowej łoży króla włoskiego Wiktora Emanuela III. z królową Heleną oraz regenta Węgier z małżonką.

► CZAPKA NIEWIDKA◄



„Achrioptera spinosissima“ czyli patyczak, to olbrzym podobny ludzko do gałązki róży pokrytej kolcami, na której przebywa

W P R Z Y R O D Z I E



Od lewej: Modliszka (*Coeradodis strumaria*) imituje wspaniałe zeschnięte liście. Inny gatunek tej rodziny (*Gongylus gongyloides*) posiada na odnóżach jakgdyby listki, które przyjmują w chwili atakowania przez nieprzyjaciela odstrasżającą postawę.

Do zagadnień, które oddawna interesowały wielu przyrodników, i były przedmiotem ich badań, należy zjawisko mimetyzmu. Mimo coraz większej ilości zbieranych obserwacji i dotąd zagadnienie to nie zostało jeszcze całkowicie wyjaśnione i w dalszym ciągu stanowi temat naukowych rozważań i dyskusyj.

Wiele zwierząt barwą swą przystosowuje się do otoczenia tak, że w danym miejscu są one trudno dostrzegalne. U zwierząt krain polarnych, dominuje barwa biała, doskonale harmonizująca z bielą lodów i śniegów. Zwierzęta pustyni i stepów cechuje ubarwienie płowe lub brązowe, zbliżone do barwy piasków lub skał. Mieszkańcy lasów i puszczy podzwrotnikowych przyjmują przeważnie barwy jaskrawe i żywe, barwa zielona niektórych ptaków i owadów zlewa się z soczystą zielenią otaczającego listowia. U rozmaitych planktonowych zwierząt morskich, jak meduzy, skorupiaki czy ślimaki, ciało jest przezroczyste i dla wielu wrogów trudno dostrzegalne lub niemal zupełnie niewidzialne.

U niektórych zwierząt przystosowanie do otoczenia posuwa się tak daleko, że dane zwierzę zmienia ubarwienie zależnie od barwy podłoża, na którym się znajduje. Tego rodzaju zjawisko można zaobserwować u krajowej naszej żabki zielonej zwanej rzeckotką. Na świeżym, zielonym liściu, w dzień pogodny przyjmuje ona zabarwienie intensywnie zielone, w dzień pochmurny i deszczowy barwa jej może przejść w sza-

rawą. Podobnie zmieniać może swe zabarwienie kameleon, jaszczurka żyjąca na Madagaskarze i w krajach śródziemnomorskich, co nawet stało się przysłowiem.

Inne znowu zwierzęta zmieniają ubarwienie swej sierści czy upierzenia zależnie od pór roku. Gronostaj, który w lecie nosi futerko brunatne, zmienia je w zimie na białe, przez co na tle śniegu staje się niewidoczny. Podobnie zajęcy alpejski czy sowa polarna dostosowują swe ubarwienie do podłoża, zależnie od pory roku. Szare w lecie, bieleją, gdy nadejdzie okres śniegów.

Te barwy ochronne, względnie zdolność zmiany ubarwienia zależnie od podłoża w znacznym stopniu ułatwiają tym zwierzętom życie, stanowiąc niekiedy jedyną obronę dla zwierzęcia przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Obserwować to można zwłaszcza w świecie owadów, u których prócz przystosowania barwnego występuje ponadto często jeszcze naśladownictwo w kształtach otaczających je przedmiotów. Owad do złudzenia nieraz przypomina liście, gałązki, patyczki, korę lub pokrywające ją porosty. Można koło takich stworzeń przejść, co więcej nawet, można na nie patrzeć i zupełnie ich nie zauważyć, zwłaszcza wtenczas, gdy znajdują się w bezruchu. Najwybitniej przystosowanie to występuje w krajach podzwrotnikowych, gdzie życie cechuje wielkie bogactwo form i postaci. Niektóre z nieszkodliwych owadów przyjmują postać i rysunek czy barwę owadów jadowitych lub wydzielających nieprzyjemną woń i w ten sposób zabezpieczone są do pewnego stopnia przed napaścią nieprzyjaciela, który najczęściej pamiętając o zglubnym działaniu „modeli“ unika też i ich trafnych „naśladowców“.

Jako typowy przykład mimikry w każdym niemal podręczniku zoologii czy biologii podawany jest egzotyczny szarańczak — liściec, który ludzko przypomina liść nie tylko barwą i kształtem, ale także użytkowaniem swych skrzydeł, uderzając podobnym do unerwienia liścia. Podobnie u krewnych tego „wędrującego“ liścia (*Tanusia signata*, *Pterochroa mimia*) pierwsza para skrzydeł imituje błaszki liściowe wprost drobiazgowo. Na skrzydłach tych widoczne są dziurki i symetrycznie rozmieszczone nacięcia jakgdyby wygrzyżone przez gąsienice, co zwiększa jeszcze podobieństwo między owadem a liściem; jest ono niemal zupełnie wtenezas, gdy owad złoży skrzydła.

Inni przedstawiciele tej samej rodziny noszą nazwę patyczaków, która pochodzi od nadzwyczajnego podobieństwa do patyczków lub gałązek. Owady te są małe lub duże, brązowe lub zielone, uskrzydłone lub



Na lewo: 1. Larwa owada „*Pseudocanthops spinulosa*“ naśladowuje ludzko kolec. 2. „*Leptaeris filiformis*“ — szarańczak przypomina swym wyglądem żdźbło słomy. 3. Larwa owada „*Hyomonopus coronatus*“ imituje kwiat. 4. „*Brancsikia aeroplana*“ niczem się nie różni od zeschniętego liścia. 5. Podobną postać posiada również „*Phyllocrania paradoxa*“ — modliszka.



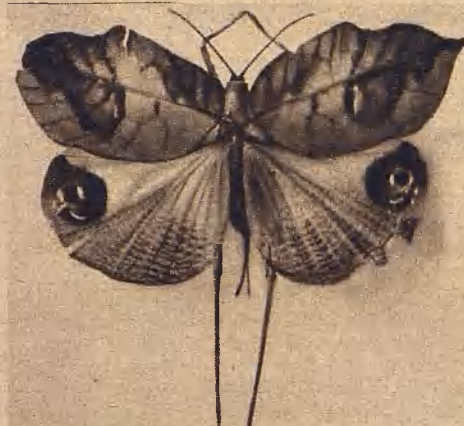
Na lewo: 1. „*Lithinus nigrocristatus*“ stanowi doskonały przykład owada imitującego korę drzewa, na którym przebywa. 2. „*Typophyllum rufifolium*“ ma wygląd zeschniętego liścia. 3. i 3a. Dwie odmiany pluskwiaków, przypominających wyglądem korę drzewną. 4. „*Messena nebulosa*“ — pluskwiak złożywszy skrzydła nie różni się niczem od porostów na korze drzewnej.



bez skrzydeł, o prostej lub bardziej złożonej budowie. Oto jeden z patyczaków (*Palophus reyi*) naśladuje zeschnięte gałązki pewnego afrykańskiego krzewu, inny zaś (*Archioptera spinosissima*) — czyż nie daje nam złudzenia świeżo oderwanej gałązki róż-



Powyżej: „*Pterochroza mimia*“, zwana dla swego podobieństwa z liśćmi — liścem.



Powyżej: „*Tanusia signata*“ — szarańczak posiada pierwszą parę skrzydeł podobną do liści, nadciętych przez szkodniki.



ży, pokrytej kolcami? Gdy siedzą na gałązkach niektórych zwłaszcza roślin, stają się zupełnie niewidoczne. Dopiero gdy się poruszą lub wzniosą w górę na rozpostartych skrzydłach, zdradzają swą obecność.

Podobne przystosowanie cechuje również drapieżne modliszki. Taka np. *Branciskia aeroplana* przyjmuje wygląd zeschniętego liścia, który na pierwszy rzut oka trudno od prawdziwego odróżnić. Jedne gatunki modliszek są barwy zielonej, inne brunatnej, jedne imitują świeże, inne uschnięte liście roślin. To podobieństwo do liści stanowi nie tylko dla nich obronę, lecz ułatwia im także napaść na słabsze owady

Jeszcze inne owady przypominają wyglądem swym korę drzew, czego doskonałym przykładem mogą być liczne egzotyczne pluskwiaki. Podobieństwo jest tak dokładne, że nawet bystre oko niełatwo je spostrzeże.

Według dawniejszych poglądów w przystosowaniach tych dopatrywano się celowości. To niezmiernie pożyteczne dla zwierząt przystosowanie miało powstać w drodze doboru naturalnego. —

Na prawo: „*Palophus reyi*“ — patyczak z powodzeniem upodabnia się do zeschniętej gałązki.

Na lewo: Otó dwie ropuchy „*Ceratophrys cornutus*“ (na prawo) i „*Bufo superciliosus*“, które łatwo można wziąć za kamienie.



Niewątpliwie barwy te dostosowane do podłoża, jak też i naśladowanie kształtem ciała czy też rysunkiem otaczających przedmiotów, mają duże znaczenie ochronne, lecz nie całkowite. Nie możemy bowiem patrzeć na zwierzę oczami ludzkimi i rozpatrywać jego barwy jako ochronnej z naszego punktu widzenia. Rozważając tak zapominamy bowiem o tem, że każde zwierzę ma swoich wrogów, którzy je mogą widzieć inaczej aniżeli my. Owadom naprzykład największe niebezpieczeństwo zagraża ze strony innych drapieżnych krewnych, a oko owada zbudowane jest na innej zasadzie, aniżeli acy kręgowców. Owad widzi obrazy nieosłone, nie odróżnia więc na skrzydłach drugiego owada rysunku, który ma stanowić jego zabezpieczenie. W tym wypadku naśladowanie przez owady bezbronne gatunki niebezpieczne lub wydające odrażające zapachy nie stanowi pewnej ochrony przed zagładą. Wiele jeszcze innych faktów przemawia przeciwko zwolennikom celowości i bezwzględnej użyteczności barw ochronnych. Trudno naprzykład jest nam zauważyć zająca siedzącego pod krzakiem lub na rli.

Dla nas ma on barwę ochronną nie ma to jednak większego znaczenia, gdy chodzi o głównego jego wroga, jakim jest lis, ten bowiem mimo ochronnej barwy szaraka może go wytropić swym doskonałym węchem. Podobnie jakże trudno jest nam zauważyć szarą kuropatwę, siedzącą na rli, jak jednak łatwo odszuka ją pies, kierując się swym węchem!

Są też muchy, które wyglądem swoim i barwą tak są podobne do ós, że zwykły śmiertelnik nie wdający się w szczegóły budowy unika ich jako niebezpiecznych owadów. Niektóre z nich pasorzytują w gniazdach osich, gdzie składają jajka w komórkach sporządzonych przez osy, a gasienice ich żywią się gotowym pokarmem, nazbieranym przez osy. Niektórzy tłumaczą to tem, że muchy mogą się łatwo dostać do gniazd, ponieważ osy nie odróżniają od siebie tych doskonałych „naśladowców“. Czyż jednak to zabarwienie może odgrywać tak ważną rolę, gdy w gnieździe jest ciemno?

Jest prawdopodobnem, że jednakowe warunki, w których żyją zwierzęta nawet ze sobą niespokrewnione, wyciskają na nich pewne piętno, które objawia się w podob-

bieństwie ubarwienia. Ubarwienie wielu zwierząt zależne jest nieraz od warunków świetlnych. Zwierzęta, które przebywają na pewnych, określonych przedmiotach o danej barwie, wytwarzają w swem ciele przede wszystkim te barwki, które najmniej podlegają działaniu światła, powodującego ich rozkład, a równocześnie są najbardziej zbliżone do podłoża. W niejednym wypadku ubarwienie zależne jest od innych czynników, związanych ze zjawiskami dyfrakcji i interferencji światła. Nieraz znowu światło barwne nie oddziaływa bezpośrednio na skórę lub barwik, lecz tylko za pośrednictwem nerwów.

Musimy się przyznać, że dotąd nie potrafiliśmy jeszcze znaleźć dostatecznie jasnego i przekonywującego wytłumaczenia tego ciekawego zjawiska. Przed kilkudziesięciu jeszcze laty, kiedy powszechnie wierzono w celowość natury, sprawa ta wydawała się jasną i prostą. Obecnie jednak wiemy, że zagadnienie barw ochronnych i przystosowania do otoczenia związane jest z wieloma czynnikami, których roli i znaczenia nie umiemy jeszcze całkowicie wyjaśnić.

Dr Z. M.

CZARKA

MARGRABIEGO BELLISOMI

Okulturze dawnych wieków świadczą przedmioty, dochowane po zbiorach publicznych lub prywatnych. Sztuka nie tylko zaznaczyła swoje przejawy w architekturze, rzeźbie i malarstwie, ale wniknęła ona w drobne, nieraz luksusowo wykonane przedmioty, stwarzając wielkie dzieła pracy rąk ludzkich.

Przemysł artystyczny w połowie XVII wieku stał na bardzo wysokim poziomie. Starano się o bogate ozdabianie nie tylko naczyń kościelnych, ale również przedmiotów domowego użytku.

Jednym z najzdolniejszych szlifierzy szkła i kryształu górskiego był swego czasu Jerzy Schwanhardt starszy, rodem z Norymbergi (ur. 1601, zm. 3 kwietnia 1667 r.). Zaczął pracować w Pradze pod kierunkiem Lehmana, a w 1622 r. przeniósł się do swego rodzinnego miasta. Najcharakterystyczniejszymi dla jego twórczości są przedmioty, w których niektóre szczegóły grawerował za pomocą diamentu. Znaczna część znanych jego dzieł jest ryta w kryształach górskich. Ten cenny i szlachetny materiał najwięcej odpowiadał artyście. Kształt naczyń dekorowanych musiał być dostosowany do materiału. Przez łączenie poszczególnych części kryształu ze złotem lub srebrnymi kłami uzyskiwał żadaną formę. Powtarzająca się ornamentyka roślinna w jego dziełach pozwala i ułatwia identyfikowanie prac wyszłych z pod jego ręki. Jerzy Schwanhardt miał wielką łatwość rysunkową, grawerowane przez niego sceny mają obok świetnej techniki z lekkością potraktowany wzór. Tematami (zwłaszcza w początkach jego twórczości) są portrety, później polowania, widoczki itp.

W zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie (z daru Franciszka Biesiadeckiego) znajduje się czarka z kryształu górskiego, pochodząca od margrabiego Bellisomi, zamieszkałego w okolicach Rzymu. Czarka z okrągłą podstawą ma uszy ślimakowato zakończone, które przymocowane są do niej zapomocą pierścieni, ozdobionych paskiem z przerywanej czarnej emalii. Czasza ozdobiona

jest ornamentem rytym jak gema. Składają się na niego cztery pasy poprzeczne, pomiędzy którymi rysunek odgraniczony jest linią. Górą biegnie ornament szeroki na 2 cm z liści akantu (wzór powtarzający się dwa razy) w ten sposób środki tego fryzu przypadają na miejsca przyczepień ucha. Pas następny najszerszy (4 cm) ma dekorację z rytą sceną z polowania. Wykonanie tego fryzu jest bardzo delikatne. W ślad za uciekającym zającem w stronę sieci rozciągniętej pomiędzy dwoma drzewami, pędzą dwa psy i pasterz. Pasterz trzyma w lewej ręce łaskę, prawą podtrzymuje róg przy ustach. Tło do tej sceny stanowi siedm drzew i widok zamku. Pomiędzy konarami jednego z drzew leżą ptak. Pod spodem powyższej sceny mamy znów ornament (szeroki 1,8 cm) z liści akantu, biegnie on naokoło nieprzerwanie. Zakończenie czarki u spodu tworzy ornament w migdały. Podstawa, jak już zaznaczyłem, jest okrągła, połączona z czarką złotą obrączką. Tworzy ona jakgdyby dwie płytki, jedna nad drugą. (Sama czarka jest wysoka 11,5 cm, górą szeroka 7,7 cm, z uszami 2 cm, podstawa o średnicy 5,4 cm).

Artysta, który przedmiot powyżej opisany ozdobił delikatnym rysunkiem, w części szlifowanym diamentem, starał się wgłębieniami szlifów zakryć usterki, powstałe z natury rzeczy w samym materiale, które często spotyka się w kryształach górskich. (W dolnej części kryształowa czasza ma skazę na przestrzeni 3 cm).

Z opisu przedmiotu i porównania z wiadomymi pracami Jerzego Schwanhardta, czarka z Muzeum Narodowego w Krakowie posiada mnóstwo ornamentów, cechujących jego dzieła. W Victoria and Albert Museum w Londynie znajduje się czasza, wprawdzie znacznie bogatsza od naszego przedmiotu, niemniej jednak mająca dużo cech wspólnych, zwłaszcza w ornamentyce, jak ró-



Czarka z kryształu górskiego, ozdobiona rytym ornamentem, niegdyś własność margrabiego Bellisomi, obecnie znajdująca się w Muzeum Narodowym w Krakowie (z daru Franciszka Biesiadeckiego).

wniez w scenie figuralnej. To samo dałoby się powiedzieć o przedmiotach przez niego wykonanych z innych zbiorów, jak np. w Muzeum przemysłu artystycznego we Frankfurcie, w Zamkowym Muzeum w Wejmarze, Berlinie itp.

Pozornie drobny przedmiot, jakim jest nasza czasza, stanowi jeden z nielicznych tego rodzaju wyrobów, znajdujących się w zbiorach polskich.

Na marginesie należy wspomnieć, że rodzina Bellisomi osiedlona była w Małopolsce i z niej to pochodził lekarz krakowski, margrabia Bellisomi w końcu XIX wieku.

Dr Edward Lępkowski.

Literatura: Robert Schmidt „Das Glas“, Schlesens Vorzeit in Bild und Schrift, Robert Schmidt Zum Werk Georg Schwanhardts D. A.

Zbytńia tusza

jest poważną przeszkodą w życiu.

Otyłość jest objawem chorobliwym a przy czyn jej należy szukać w wadach przemiany materji lub też w zaburzeniach czynności gruczołów do krewnych. Nie zapominajmy, że otyłość osłabia serce. Serca otyłych, obłożone grubą warstwą tłuszczu, pracują z wysiłkiem, wyczerpują się szybko i wcześniej odmawiają posłuszeństwa. Przy otyłości i złej przemianie materji stosuje się Ziola magistra Wolskiego ze znakiem ochronnym „DEGROSA“, gdyż zawierają one jod organiczny, znajdujący się w morskiej roślinie Yahanga. Pobudza on organizm do spalania nadmiernego tłuszczu, działając dodatnio na funkcję gruczołu tarczycowego. Stosowa nie ziół „Degrosa“ nie wymaga specjalnej diety. Jako środki pochodzenia naturalnego, działają Ziola magistra Wolskiego łagodnie, nie mają przykrego smaku i są łatwe do przyswajania.



Wytwórnia:
MAGISTER WOLSKI
WARSZAWA, ŻŁOTA 14.

„Pomoc Zimowa“ i — pomoc dla dzieci — oto hasło, pod którym w miesiącu grudniu w każdym omal państwie wydano znaczki dobroczynne, a więc: Gdańsk, Niemcy, Austria, Szwajcaria, Holandia, Belgja, to już kraje, gdzie tradycja takich serji sięga daleko wstecz. — U nas zrobiono wreszcie pierwszy krok w tym kierunku, chociaż wydano tylko „pół-znaczki“ — po 5 i 10 groszy, które naturalnie figurować będą w każdym zbiorze specjalnym, ale nie zyskają one uznania w oczach zagranicy.

Dla niezamożnych zbieraczy lepiejby jednak było, ażeby najwyższe dopłaty wynosiły po 5 lub 10 gr, bo znaczki za 1+1 Sch. lub za 40+35 fen. są dla nich niedostępne.



Dwa najnowsze znaczki duńskie, wydane z okazji 400-lecia wprowadzenia kościoła ewangelickiego

Ostatnio panuje moda na bloki, tak, że w jednym miesiącu mamy do zanotowania, aż 2 ze Szwajcarii i Luxemburgu. Serje „Pro Patria“ wydano łącznie, z tem, że dopłata wynosi aż 1.40, a blok Liechtensteinu zawiera po 2 znaczki po 20 i 40 rappen i kosztuje również dwa franki. Ciekawe czy cena tych bloków pójdzie również tak niesłychanie w górę, jak „Ipostata“, „Ostropa“ i t. p. Wobec tego, że bloki te nie zawierają nowych pod względem rysunku znaczków nie reproduujemy ich.

Zamieszczamy natomiast 2 ciekawe Danje: za 5 øre zielona (ze zboru p. mgr. Bałowskiego, Katowice) i 30 øre niebieska (ze zboru p. Skwirzyńskiego — Kraków). Są one wydane na 400-lecie uznania kościoła ewangelickiego, w Danji, wartości za 5, jak i za 7 øre (fioletowe) przedstawiają św. Mikołaja w Kopenhadze, a za 30 øre katedrę w Ribe. Ci, którzy krytykują polskie stemple, mają tu przykład, że nie

NAWET MASKA

NIE UKRYŁA
JEJ BRZYDKIEJ
CERY...



POZNAŁEM GDRAZU! PRZECIEŻ I MASKA NIE UKRYJE JEJ BRZYDKIEJ CERY

DLACZEGO NIE TANCZYSZ Z JADZIĄ, ADASIU? CZY NIE POZNAŁES JEJ W MASCE!



JESTEM PRZYGNĘBIONA PO DZISIEJSZEJ ZABAWIE. TANCZYŁAM ZAŁEDWIE DWA RAZY

ZORADZĘ CI SEKRET, IADZIU TO PRZEZ TWOJĄ BRZYDKĄ CERĘ. PRZEPRO WADZ KURACJĘ MYDŁEM PALMO LIVE



JAKA WIELKA ZMIANA PO PARU TYGODNIACH WSZYSTKICH WIECZORY MAM ZA JETĘ, A DZIĘKI KAPIELOM Z MYDŁEM PALMOLIVE CIAŁO MOJE NABRAŁO MŁODZIENCZEJ ŚWIEŻOŚCI!

Nowoczesna kobieta winna od stóp do głów posiadać delikatną jedwabistą skórę. Mydło Palmolive kosztuje tak niewiele, że miliony kobiet używa go również do kąpieli; szczęśliwe są, że mogą korzystać z dobroczynnego działania olejku oliwkowego.

Mydło Palmolive dzięki swej obłitej i przenikającej pianie udelikatnia i odmładza skórę, uwalniając pory całkowicie od brudu. Codzienna kąpiel mydłem Palmolive jest w ten sposób prawdziwą „kąpielą piękności“, która zapewnia każdej kobiecie ośniewającą urodę decydującą o jej powodzeniu.



lepiej jest często zagranicą i faktycznie wartościowy jest znaczek minimalnie prześwietlony, aniżeli zastemplowany.

Mnóstwo nowości pojawiło się ostatnio i tylko brak miejsca nie pozwala nam omówić dalszych ślicznych Niemiec, brzydkich Gdańsków, wspaniałych Francji; Belgje już są „w drodze“ — podobnie, jak i Szwajcarije z nowymi strojami narodowymi, a na Boże Narodzenie ucieszymy się czterema „Voor het Kind“ z aniołkiem i trąbką pocztową. łowski — za miły list i znaczek dziękujęsztyłoby wielu zbieraczy.

W. H.

Święta idą!

W okresie wzmożonej sprzedaży i zwiększonych obrotów handlowych kupcy i przemysłowcy starają się w skuteczny sposób zapoznać szerokie sfery kupujących z zaletami swego towaru drogą ogłoszeń w GWIAZDKOWYM NUMERZE

»AS«

który ukaże się w całej Polsce w podwójnym nakładzie i w znacznie zwiększonej objętości.

UWAGA: Ostatni termin przyjmowania ogłoszeń do Numeru Gwiazdkowego „AS“ przez Administrację IKC upływa dnia 17 grudnia.

W OAZIE UCZCIWOŚCI

„Ciągnie wilka do lasu“ — mówi przysłowie, które jest klasycznym przysłowiem na to, że większość przysłów, to... fantazja i nieporozumienie! Są bowiem kraje, gdzie długoletni moralny „trening“ zmienia do tego stopnia charakter mieszkańców, że odbiegają oni najzupełniej od swoich współbraci w innych krajach. Jednym z takich oryginalnych krajów jest Dania, a cechą charakteru, którą wykształcono w ciągu lat jest... uczciwość.

O ile ludność wschodu Europy, a po części i południa jej nie cieszy się zbytnio opinią uczciwości, o tyle znowu północ, a przede wszystkim Skandynawja może być uważana za ojczyznę ludzi skrupulatnych i pozbawionych zupełnie zrozumienia dla tego „non olet“, które powoduje tyle wielkich katastrof i tyle małych epizodów codziennego życia. Jedynym bodaj wyjątkiem i wylomem w tej skandynawskiej uczciwości, to łupieżcze wyprawy królów szwedzkich na Europę, a ostatnio niemieckiej lu-

sażer wpłaci daną sumę. Jak stwierdzają statystyki tramwajów duńskich, w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto bono kredytowe zostały wykupione, z czego wynika, że conajmniej 90 procent ludności jest nie tylko uczciwych, ale też pedantycznie przestrzega porządku. Albo taki wypadek: lekkomyślny rowerzysta, mający do załatwienia jakąś dłuższą sprawę w domu lub w sklepie, oparł swój rower o trotuar. Nieostrożny szofer taksówkowy najechał na rower i wkrótce żelazny pegaz zamienił się w pomarszczoną ruinę. Nie mogąc znaleźć właściciela roweru, szofer zawiesza na rowerze kartkę, podając swój adres, a nawet telefon z postscriptum, że jest w domu w tych i w tych godzinach. I czeka na zgłoszenie! Z ręką na sercu przyznajmy, że koreci nas, aby taksówkarza posądzić o lekkie rozmięczenie mózgu!

Nie mniej ciekawym jest obrazek, z któ-

Na prawo: ...mleczarz wydaje resztę z pieniędzy, położonych bez nadzoru przed drzwiami...

rym spotykamy się na każdym rogu ulic Kopenhagi. Oto stoi kiosk sprzedawcy gazet, który prowadzi swoje „przedsiębiorstwo“ do pewnej godziny, a następnie udaje się do domu na obiad. Zostawia wtedy kapelusz na



zniszczonym przez swój właściciel kartkę z swoim adresem i numerem telefonu.



Powyżej: Oto jak wygląda uprzejme wezwanie duńskiej poczty, proszące o nalepienie znaczka, którego brakowało na liście!

Na lewo: Nieostrożny szofer związał motocykl z napisem, z swoim adresem i numerem telefonu.

Na prawo: Samotny kapelusz sprzedawcy gazet jest równie bezpieczny, jak kasa ogniotrwała...

piecza wyprawa Kreugera po europejskie... zapalki! Ale tego nie można brać pod uwagę, gdyż, zgodnie z definicją, że „wielkie zło dziejstwa nabierają cech zdarzeń historycznych“ — przekroczyły one ramy zwykłej nieuczciwości.

Opinia przysłowiowo uczciwego miasta cieszy się stolica Danii, Kopenhaga. Dla człowieka nie przyzwyczajonego do tamtejszych stosunków na każdym kroku czeka na niego niespodzianka. Oto wysyła ktoś za nisko ofrankowany list, co w każdym innym państwie konczy się tem, że adresat musi dopłacić odpowiednią kwotę, a ponadto zapłacić karę. Zupełnie inaczej jest w Danii. Nie tylko, że adresat nie płaci kary, ale wysyłający otrzymuje wezwanie od poczty, zresztą bardzo uprzejmie zredagowane, wzywające go do naklejenia na kartce brakującego znaczka! Poczta otrzymując za nisko ofrankowaną przesyłkę, dolepia na własne ryzyko dany znaczek i posyła ją dalej. Ale oto inny obrazek, który można nieraz zaobserwować w Danii. Pasażer jadący tramwajem zapomniął wziąć z sobą pieniądze i stwierdza to dopiero w chwili, kiedy ma wykupić bilet. Konduktor nie każe mu bynajmniej wysiadać, ani się na niego nie gniewa, lecz wystawia mu bon pożyczkowy na kwotę na jaką opiewa bilet przejazdu i cierpliwie będzie czekał chwili, kiedy pa-

pieniądze, a swój dobytek opiece publiczności. i cóż się dzieje? Wraca po kilku godzinach na swoje stanowisko i stwierdza, że ubyla pewna ilość gazet, przybyła zaś odpowiednia ilość drobnych monet w kapeluszu. Między jednym a drugim zjawiskiem panuje idealna harmonia, ani o jedna korone zaduzo, ani zamało. Tak żyją ludzie w Danii, gdzie wrodzona, względnie wyrobiona dzięki wiekowemu wychowaniu uczciwość eliminuje z życia wszelkie konflikty dające się gdzieś indziej tak bardzo... znaki.

Z punktu widzenia psychologicznego, zjawisko to jest nadto ciekawe, gdyż przeczy ono twierdzeniu jakoby istniały pewne wrodzone cechy charakteru w każdym narodzie. Trzeba przypuszczać, że niezawsze uczciwość była cechą Skandynawów, a wyrobiła się dzięki specjalnym warunkom życia i mądremu wychowaniu przez państwo. To, co się widzi w Kopenhadze i wogóle w Skandynawji, nasuwa ciekawe refleksje, skoro porówna się z temi zjawiskami stosunki panujące w innych krajach. Zresztą co kraj, to obyczaj... B. S. (Kopenhaga).

Na prawo: Konduktor wydaje pasażerowi bez pieniędzy „bon pożyczkowy“...



cieczki zagranicę, zabawy w paryskich kabaretach lub londyńskich klubach. Stał się mu w pamięci jakiś rauty towarzyskie, imprezy dobroczynne, wspólnie przeżyte balety i przyjęcia. Choć chciał ich potępić za brak serca i zainteresowania i szukał ich winy, to jednak, po długich rozmyślaniach dochodził do przekonania, że nie można im było robić właściwie żadnego zarzutu. Musiał im przyznać rację, tem boleśniej, że po raz pierwszy w życiu zdał sobie z tego sprawę. Tak, dla wszystkich był tylko miłym towarzyszem zabaw, był sympatycznym kolegą, ale niczem więcej. Żadne serce nie zabiło na wieść o jego ciężkiej chorobie, którą traktowano jako wiadomość bez głębszego znaczenia.

Po raz pierwszy w życiu zauważył lord Cedryk Carborough, że był sam na świecie. Dotychczas zdawało mu się, że jest otoczony ludźmi życzliwymi, chętnymi podzielić dobre i złe chwile. Składało się niestety tak, że dzielił tylko dobre, bo troski zamykał lord głęboko w swej duszy. Zbyt był dumny i zbyt obcym ludziom, by pokazywać swoje chwile słabości. I tak przeszło wiele lat, zanim naprawdę zdołał poznać atmosferę, w której żył.

Dusznym wydał się lordowi pokój, jakiś ciężar zdawał się ciążyć na jego chorem sercu. Z wysiłkiem otworzył okno, aby zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza. Do przegrzanego pokoju weszła smuga świeżego powietrza, przepojonego zapachem gnijących liści i mokrej ziemi.

Zza cicho uchylonych drzwi ukazał się stary służący lorda, Jakób Hobson, który pana swego doglądał z całą pieczołowitością. Ale mimo całego oddania, Jakóba,

otaczali go o tyle tylko opieką i sympatją, o ile szło to w parze z ich interesami.

Do pokoju weszła pielęgniarka, miss Grace Hobson. Była ubrana w biały strój, który w zestawieniu z piękną twarzą dziewczyny, jej dużymi, niebieskimi oczyma, można nazwać „cywilnym strojem“ anioła.

— Milordzie, trzeba będzie zażyć krople — rzekła, podchodząc do chorego.

— Tak, niestety, najgorszą stroną choroby to są paskudne lekarstwa! — skrzywił się lord ironicznie.

Trzymając w ręku fiolkę z lekarstwem, usiadła obok niego. Od tej pięknej dziewczyny szedł jakiś powiew dobroci, spokoju i miłości bliźniego. Z pod czepka wysuwały się kosmyki kasztanowatych włosów, które czyniły jej twarz bardziej jeszcze piękną.

— Jak pan się czuje dzisiaj, milordzie? — zapytała, nalewając płyn do szklanki z mlekiem.

— Miss Hobson — zaczął lord, jakby przygotowując się do długiego przemówienia. Niech się pani nie pyta o moje zdrowie! To głupstwo. Pewnego pięknego poranku, kiedy na dachu tego domu ćwierkać będą wesoło wróble, dwunasty hrabia of Carborough będzie należał do przeszłości! W kilka dni później odbędzie się jego pogrzeb, na którym będzie dużo oficjalnych mów, a mało nieoficjalnego współczucia. „Times“ i inne gazety opiszą mnie, jak się należy i stwierdzą, że jeden z najstarszych tytułów Anglii nie ma dziedzica i na tem koniec. Anglija pozostanie nadal Angliją, świat potoczy się swemi kolejami, ludzie w dalszym ciągu będą kochać się i nienawidzić, prawie sobie pochlebstwa lub impertynencje i nie właściwie się nie zmienią... A pani pó-

wielka szkoda! Piękne uczucie nie doszło do skutku. Tak, chciałem z panią pomówić o różnych rzeczach. Jestem stary i przeżyty, życie moje wnet się skończy... Gdy tak siedziałem wczoraj przy tem oknie, zdałem sobie sprawę z tego, że śmierć moja nikogo nie wzruszy. I to mnie właśnie dręczy. Odejdę jak cień. Dopiero teraz widzę, że nikomu nie okazałem serca. Rozumie pani? Serca! Co innego dać, a co innego odczuć.

Znów lord urwał. Nerwowo ściągnął pled, jakby mu było zimno. Śledził oczami szczyty dachów widniejących zdaleka i obserwował jak dym unosił się szaroniebieskawym pióropuszcem ku niebu. Nagle spojrzął na pielęgniarkę.

— Nie wiem czy jest to słabość chorego człowieka, czy też każdy inny odczuwał by to, co ja, ale przynębia mnie myśl, że niczego w życiu nie uczyniłem z serca, że nigdy nie dałem się porwać temu szaleństwu, które się zowie — dobrocią... I te kilka funtów, które poświęciłem na pani kształcenie, jakże by radość one mi uczyniły gdyby były dane życzliwie! Powiem pani szczerze, że byłoby dla mnie wielką pociechą gdybym wiedział, że chociaż pani, miss Grace, uważa mnie za dobrego choć zbląkanego człowieka! Widzi pani, świat skurezył się do tego pokoju, do codziennego „Timesa“, do Hobsona i do pani. Odchodząc stąd chciałbym zabrać w pamięci pani uśmiech, dobry, przebaczący, który będzie dla mnie królewskim darem...

— Tak, milordzie, uważam pana za człowieka dobrego, chociaż zbląkanego. Wielkie bogactwo i wielka nędza czynią nas obojętnymi na wiele pięknych rzeczy. Dopiero

PUDRY, KREMY CEDIBA SA. MODNE, NIEDROGIE, ZDROWE i NIEZAWODNE

wygłądało to raczej na spełnianie jakiegoś ceremonjału, niż na pielęgnowanie chorego.

— Czy Wasza Miłość nie potrzebuje czego? — zapytał służący.

Lord Carborough spojrzął nań badawczo. — Może on mi jest życzliwy — pomyślał. Tak przynajmniej na to wskazywało jego zafrasowany wygląd! Ale i to może tylko złudzenie... Od trzydziestu lat płacę go dobrze, kupił sobie niedawno dom na przedmieściu... Interes, tylko interes!

— Dziękuję ci — odparł Cedryk — chwilowo niczego. Kiedy przyjdzie dr Dunduff?

— Mówił, milordzie, że wstąpi tu o godzinie piątej. Poleciał mojej córce, aby dała Waszej Mości o czwartej te krople w mleku! Ona zaraz przyjdzie...

Popatrzył na swego pana, poprawił pled na jego kolanach i wyszedł, jakby zakłopotany swoją rolą w pokoju chorego.

Grace, córka Jakóba była z zawodu pielęgniarką. Ta piękna, zdrowa dziewczyna, z dziwną cierpliwością i oddaniem spełniała swój ciężki zawód. Jej jasne niebieskie oczy zawsze były uśmiechnięte i zawsze życzliwie spoglądały na cierpiących. Jedną, nieco prostą urodą pielęgniarki, dziwnie kontrastowała z subtelnością jej uśmiechu, z łagodnością ruchów i delikatnością odzwania się.

Myśl o przyjściu Grace ożywiła nieco lorda, który nikogo od długiego czasu nie widywał, stosując się do zakazu lekarza. Była to jedyna osoba, z którą mógł nieco pogawędzić, a towarzystwo tej przystojnej, cichej dziewczyny wpływało na niego nieomal kojąco. Już dawno zastanawiał się nad tem, jakie jest właściwie uczucie jej dla swego chlebobodawcy i dobroczyńcy. Żył ukryte w duszy życzenie, aby piękna Grace spełniała swe obowiązki nietylko z zawodowego nakazu, ale również z głębokiej sympatii. Nie chciał żądać wdzięczności za to, żełożył na jej wykształcenie, ale zdawało mu się naturalnym, żeby ona była odplata za to dobrodzieństwo. Zdawało mu się jednak, że miss Grace, jak wszystkie inni ludzie,

dzie do swego szpitala, będzie pielęgnować innych chorych i wszystko będzie jaknajlepiej... W kaplicy w Carborough-Castle zostanie tylko w trumnie jego mości, który za życia nie mógł rozwiązać pewnego prostego zagadnienia, nie dającego mu spać i umrzeć...

Lord Cedryk zamyślił się. Miss Grace spoglądała na niego z niepokojem, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

— Czy umie pani być szczerą, miss Grace? Nawet wobec mnie? — zapytał nagle.

— Owszem umiem nią być, a nawet staram się o to! — odparła zdziwiona.

— Czy mnie pani lubi? — przechylił się w jej stronę i nieomal trwożnym wzrokiem obserwował wyraz jej twarzy.

— Bardzo dużo czuję dla milorda przywiązania, wdzięczności i szacunku — odrzekła, patrząc mu w oczy swemi wielkimi, jasnymi oczyma. Był pan tak dobrym dla mego ojca i dla mnie, pozwolił pan mi skończyć szkołę pielęgniarską, a przez to znaleźć własny kawałek chleba...

— Widzi pani, i ja będę szczerą tak, jak nigdy n'ım dotychczas nie byłem. Jeszcze do niedawna uważałem, że wdzięczność pani dla mnie jest uczuciem zupełnie zrozumiałym i właściwym. Przypominałem sobie te kilkadziesiąt funtów, które wydałem na kształcenie pani i zdawało mi się, że to obowiązuje. Ale tak nie jest: pani jest bogatszą ode mnie, bo pani uczucie jest szczerze, prawdziwe, szlachetne, a moje funty były kiepskim zadrukowanym papierem, nie mającym żadnej wartości w życiu. Wartość ich zaczynała się od banków i giełdy, ale nie będą mi one policzone na dobro, bo je dałem, ot tak sobie, nie czując nic więcej jak to, że wypada je dać...

Nastąpiła przykra chwila milczenia.

— Szkoda! Myślałam, że milord był mi życzliwy! — Grace opuściła jakby zawstydzona swemi słowami, a może słowami lorda? — głowę.

— Ma pani rację, miss Grace. Szkoda,

choroba kazała panu zastanowić się nad wieloma rzeczami. Ale nie pańska w tem wina...

Lord podał jej milcząco rękę zatrzymując długo jej drobną dłoń.

W kilka dni po tej rozmowie stan lorda pogorszył się znacznie. Mimo wszelkich możliwych zabiegów celem utrzymania lorda Cedryka przy życiu, organizm musiał ulec chorobie. Pewnego poranku nastąpiła agonia. Lord umierał przytomny, spokojny, tak, jak żył.

Gdy w kilka dni po pogrzebie przystąpiono do otwarcia testamentu, w dużym gabinecie lorda znalazło się jego najbliższe otoczenie: doradca prawny mr. Pihbs, zarządca jego majątków mr. Anthony Gardner, stary Jakób i jego córka, miss Grace.

Testament zmarłego brzmiał:

„Niżej podpisany chory na ciele, ale zdrowy na umyśle, postanawia co następuje: skoro stwierdziłem przez całe moje życie, że pieniądź użyty jedynie na własne potrzeby i rozrywki chybiam celu nie przynosząc nikomu pożytku, a właścicielowi nie daję żadnej satysfakcji, a nawet pozostawia wyrzut sumienia, postanawiam niniejszem, że cały mój majątek, którego wyszczególnienie znajduje się w allegacie, ma posłużyć na stworzenie fundacji dobroczynnej dla młodzieży pozbawionej środków utrzymania. Szczegóły odnoszące się do stworzenia fundacji wyszczególnione są na osobnej karcie. Niniejszem zaś ustanawiam pielęgniarkę miss Grace Hobson kuratorką fundacji i chcę, aby mój doradca prawny mr. Pihbs, służył jej pomocą równie życzliwie, jak to czynił wobec mnie. Poza tem proszę o wyplacenie wyszczególnionych legatów. Niechaj fundacja, którą ustanawiam otrzeże i tym wszystkim, którym nie umiałem za życia być pomocnym“.

W ten sposób Londyn otrzymał największą fundację dobroczynną, znaną pod nazwą „Carborough-Funds“.

Laureaci nagrody artystycznej Poznania

Arkady Fiedler.

Arkady Fiedler odziedziczył po ojcu zdolności literackie i warsztat przemysłowy. Pierwsze kochał, o drugim mało myślał. W r. 1928 zaskoczył wszystkich niespodziewanym porzuceniem Poznania i wyjazdem do Brazylii. Stamtąd powrócił z wspaniałym zbiorem okazów, liczącym około 7.000 sztuk. Wśród przeszło 1.150 ptaków było 160 rzadkich okazów rodziny kolibrów, pozatem ssaki, chrząszcze i motyle. Fiedler ofiarował to bezinteresownie Muzeum Wielkopolskiemu, a równocześnie Ogrodowi Zoologicznemu w Po-



Prof. Jan Wronecki.

Arkady Fiedler.

Zawsze szczery. Wielki talent. Wspaniały człowiek. Jego prace, pozbawione błagi i taniach smaczków — są rzetelnie obmyślane. Czarujący artysta, przemysłowy towarzysz.

Grafika prof. Wroneckiego, te czarno-białe dzieła przynoszą zawsze coś nowego, zajmują fakturą, pozwalają odczuć kolor i nasilenie barwy. Grafika ta zachwyca i ujmuje. Była ona też wyróżniana i odznaczana medalami wiele razy w Polsce i zagranicą.

Prof. Wronecki, który ukończył swe studia w Berlinie, od r. 1919 jest profesorem w Poznańskiej Szkole Sztuk Zdobniczych, gdzie prowadzi od początku dział grafiki. Wroneckiego zaliczyć należy, dzięki jego wielkiemu talentowi, umiejętnościom z zakresu technik graficznych i zdolnościom pedagogicznym, do najzdolniejszych pedagogów-artystów.

Gdy ostatnio widziałem się z Wroneckim, opowiadał on wiele o swym serdecznym przyjacielu A. Fiedlerze. Mówił z entuzjazmem o jego pracy i cieszył się jego szczęśliwymi osiągnięciami życiowymi. — Nie wspominał tylko o swych pracach ostatnich, które zadecydowały o wyroku jury, które przyznało mu nagrodę artystyczną miasta Poznania.

j. m. b.
(Kraków).



Prof. Jan Wronecki — „Motyw z Krzemieńca”, rysunek piórkciem.

Na prawo: Prof. Jan Wronecki — „Fragment portu gdyńskiego” kredka (z teki „Gdynia”).

znaniu przywiózł 20 sympatycznych żywych zwierzątek. Bo Fiedler, tęskniący do włości po dalekich szlakach, kocha rodzinny Poznań, jego kulturę i pragnie zawsze wzbogacić zbiory. Z drugiej wędrowki do Brazylii przywiózł 5.000 nowych okazów, które rozdzielił pomiędzy Poznań i Państwowe Muzeum Zoologiczne w Warszawie.

Fiedler, jeden z czołowych dziś polskich podróżników, silnie związany jest z ziemią rodzinną. Był jednym z głównych organizatorów powstania Wielkopolski, wybitnym bojowcem niepodległości. On to zwerbował do armii ochotniczej kilka tysięcy żołnierzy, którzy stali się centralną siłą bojową Poznania i przed nimi skapitulowały ówczesne władze pruskie.

Fiedler jest niesłychanie skromny, cichy, spokojny, jakby zadumany i zamknięty w sobie. Ale dla drugich ma serce na dłoni. Jest wzorem uczciwości i pracowitości.

Jest on świetnym pisarzem. Zastąpienie otrzymał nagrodę literacką miasta Poznania. O jego książkach wspomina-



osobno. Tu trzeba było powiedzieć kilka słów o Fiedlerze-człowieku.

s. w. b. (Kraków).

Prof. Jan Wronecki.

Niedawno widzieliśmy się. Wronecki przyjechał wtedy, by zachwycić się starym Krakowem. Lata nie zmieniły profesora: szpakowaty, o wyrazistej twarzy. Żywy. Twierdzi, ale nie usiłuje przekonać. Ma jasny sąd o rzeczach, używa niezaprzeczenie uczciwych argumentów dla poparcia swej tezy. To jeden z wielu powodów, dla których jest pierwszorzędnym pedagogiem. Mówił o swych odkryciach i przeżyciach artystycznych w Krakowie z entuzjazmem, werwą, przekonaniem — niemal gwałtownie. Odkrywał przed oczami słuchacza nowe prawdy, ale nie zmuszał go do patrzenia ani nie pod swoim kątem widzenia.

Na prawo: Prof. Jan Wronecki — „Port w Gdyni”, rysunek tuszem (z teki „Gdynia”).



OD WSKAZÓWKI SŁONECZNEJ DO ELEKTRYCZNEGO ZEGARA



Na lewo: Klepsydra-piasecznica.

Spopularyzowanie zegarów doszło w ostatnich czasach do możliwego zapewne maksimum. Doba w XX wieku dzieli się na 1440 minut —

a bodaj nawet na 88.400 kosztownych i szybkich sekund, a nie jak to było za zamierzchłych wieków — na dzień i noc, czy później na noc i trzy pory dnia. Współczesnemu człowiekowi śpieszy się, boi się utracić choćby paru sekund. Całe jego życie zostało ujęte między tryby zegaru i zmieszczone pomiędzy linijkami znaczącymi minuty. Tem też można wytłumaczyć olbrzymie wprost zapotrzebowanie na zegary, a temsamem wzmógłoną produkcję taśmową, która z kolei znowu potaniała wyrobów i udostępniła dobry i precyzyjny zegarek najszerszemu ogółowi.

O ilości sprzedawanych zegarów najrozmaitszego typu może dać wyobrażenie statystyka, która mówi, że już w r. 1893 same tylko fabryki szwajcarskie — zajmujące się produkcją czasomierzy — sprzedały ich za sumę 85.370.000 przedwojennych, wysokowartościowych franków.

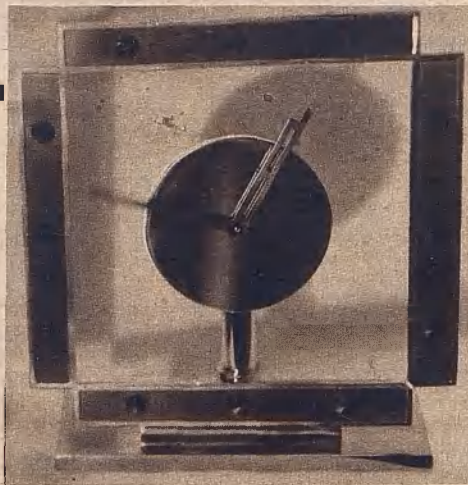
Ostatnie czasy nie przynoszą prawie żadnych zmian w fabrykacji zegarów wahadłowych, czy sprężynowych. Poza rozmaitymi schematami, konstrukcjami i niebywłą wprost precyzją, kryje się wciąż pomysł Piotra Henleina z Norymbergi, który pierwszy — około r. 1500 zastosował przy budowie mechanizmu zegarowego zamiast wag — równomiernie rozkręcającej się sprężyny. Tenże Piotr Henlein wykonał pierwszy zegarek kieszonkowy i zajął się jego produkcją. Zegarki Henleina przyjęły się nader szybko i nazwane zostały dla swego pierwotnego kształtu — „jajkami norymberskimi”.

W półtora wieku po wynalazku Henleina i skonstruowaniu przez niego pierwszego zegarka kieszonkowego przychodzi Hygens — doskonały holenderski inżynier, który w r. 1674 wbudowuje do mechanizmu Henleina małe kółko z sprężynką spiralną — t. zw. „balans” — mający zastąpić w zegarkach kieszonkowych wahadło. Tym szczegółem Holender udoskonala ostatecznie konstrukcję zegara i dokładność jego działania.

Pierwszy zegar wagowy przywieziony został do Europy ok. r. 1170, jako dar sułtana Egiptu i Syrii, Saladyna — sławnego z trzeciej wyprawy krzyżowej dla — cesarza niemieckiego Fryderyka I. Zegar ten kosztował zawrotną sumę i był rzeczywiście królewskim darem.

Na wzór zegaru Saladyna wybudowano następnie w Europie wiele zegarów, które miały służyć mieszkańcom miast. Wynalazek czasomierza był bardzo potrzebny, a zastosowanie podówczas już olbrzymie, więc pomimo wysokich kosztów budowano je masowo. W wieku XIV zegary wagowe są już powszechnie znane w Europie.

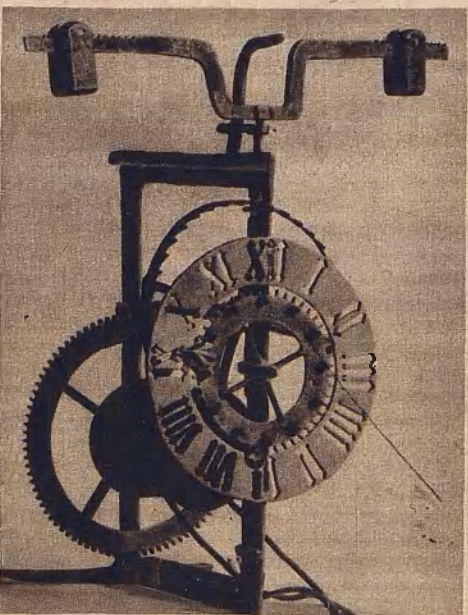
Z czasem przychodzą ulepszenia. I tak wspomniany wyżej Huygens w r. 1657 buduje pierwszy zegar z wahadłem, które zresztą było pomysłem Galileusza. W następnych latach zjawiają się nowi konstruktorzy i zegarmistrzowie wprowadzają dalsze ulepszenia czasomierzy, jak Clemont, Graham, a przede wszystkim Harrison, który



Nowoczesny zegar elektryczny.



Słoneczny zegar wyposażony w małą armatkę, której lont zapalają rzucone przez słońce promienie punktualnie o 12 w południe.



Jeden z najstarszych zegarów wagowych niemieckich z 1390 r.

w r. 1764 uzyskuje wielką nagrodę wyznaczoną przez parlament angielski za udoskonalenie zegaru.

Zanim jednak sułtan Saladyn ofiarował kosztowny i jakże cenny dar — zegar przeszedł przez okres tysiącleci olbrzymią drogę i szereg ewolucyj, które pozwoliły najstarszemu zegarowi słonecznemu zamienić się z czasem na platynowy zegarek — bransoletkę wysadzaną brylantami, na rękę pani odbywającej podróż samolotem.

Jednym z najstarszych sposobów, które pozwalały starożytnym orjentować się w czasie — było spojrzenie ku słońcu, które w codziennej wędrowce położeniem swem mówiło o godzinie. Był to sposób bardzo prymitywny, niedokładny. Ludzie uznali, że zły trudny jest się orjentować według płonącej na niebie kuli i ułatwili sobie mierzanie czasu.

W Grecji popularnym było proste urządzenie, polegające na tym, że na obszernym placu wbijano wysoki pal do ziemi. Słup ten, rzucający na ziemię cień, był pierwszym zegarem skonstruowanym przez człowieka. Aby dowiedzieć się, która godzina, trzeba było zmierzyć krokami cień słupa. Pość kroków odpowiadała godzinie. Łatwo sobie można wyobrazić sprzeczkę dwojga ludzi różnego wzrostu, którzy umówili się o pewnej godzinie. Dla niskiego mogła być już dajmy nato szósta, dla kogoś drugiego stawiającego większe kroki była dopiero piąta.

W Indiach używano przed wiekami innego zegaru słonecznego. Był to pręt, obrobiony w osmioboczną pałeczkę, w której bokach umieszczone były patyczki. Cień, który padał od poprzecznego patyczka na ponacinany bok pałeczki wskazywał godzinę, a raczej porę dnia. Pozostałe siedm boków pałeczki były również ponacinane i służyły do ustalania godziny w różnych porach roku, kiedy słońce znajduje się w innym położeniu.

Powszechnie znany u nas w Europie i często do niedawna stosowany zegar słoneczny, składający się z tarczy podzielonej kreskami i oznaczonej liczbami, które kolejno podczas słonecznego dnia wskazuje cień metalowego pręta umieszczonego w środku tarczy — jest pochodzenia babilońskiego.

Słoneczny zegar babiloński jako „ostatnie słowo” w zakresie tego typu zegarów, zamyka okres czasomierzy uzależnionych od słońca i nieczynnych w nocy.

Z kolei powstaje t. zw. zegar wodny. Był on w początkach bardzo prymitywny. Składał się z naczynia zaopatrzonego na dnie w małe otwory i... wody. Codziennie o wschodzie słońca specjalny strażnik napełniał naczynie wodą, która podczas dnia wysączała się przez otwór. Naczynie napełniano kilka razy w dzień i w nocy i za każdym razem, gdy dolewano wody oznajmiali gońcy wszem wobec, że minęła ta i ta godzina.

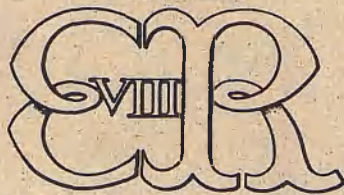
Zegar wodny opisanego powyżej typu był wielkim krokiem naprzód w dziedzinie rozwoju czasomierzy. Następnym znanym zegarem wodnym był wynalazek polegający na tym, że woda poruszała wskazówkę zegara.

Konstrukcja wspomnianego zegaru była nader prosta. Czasomierz składał się z drążka ponacinanego i oznaczonego liczbami, który umocowany był pionowo. Po obu jego stronach znajdowały się figurki chłopców. Jeden z nich trzymał w ręku laseczkę i podnosząc się na swej podstawie coraz wyżej wskazywał godzinę. Drugi chłopiec, stojąc nieruchomo — płakał. Woda wyciekająca z oczu kukły — wpływała do basenu z wodą, na powierzchni której pływał korek-podstawa, na której wspierała się lalka wskazująca godzinę. W miarę jak woda przybywała w basenie unosił się ku górze korek, a wraz z nim chłopiec wskazujący na pionowym słupku na nacięciach — godzinę. Gdy woda dochodziła do najwyższego poziomu, otwierał się otwór na dnie i woda uciekała z basenu, a laseczka opadała wdół. Aby ten zegar funkcjonował potrzebny był tylko stały dopływ wody.

Dokończeni na str. 31



LORD • SHOCKING



Król Edward VIII i p. Simpson podczas przejażdżki łodzią motorową na morzu Adrytyckim, r. 1935.

Księżka szwedzki, Bertil, z żoną w swoim mieszkaniu berlińskim.

Gdyby ktoś chciał się w codziennych zjawiskach dopatrywać wielkich symboli zwalczających się współczesnych prądów, powiedziałby, że konflikt małżeński króla Edwarda VIII. z angielskim rządem i parlamentem jest właśnie takim symbolem. „Wczoraj” stało się oko w oko z „dziś” i walczy o... jutro! Tradycja, udrapowana w płaszcz z gronostajów, z koroną angielskiego lorda na głowie, walczy z zwykłą szarą marynarką „obywatela”. Serce stanęło w opozycji wobec rozumu i rutyny. — A najtragiczniejszym w tem wszystkim jest właśnie to, że tym opozycjonistą jest... król, źródło tradycji, „fons omnium honorum”, jak określają go dawni kronikarze.

Ale trudno! Żaden król nie jest na tyle królem, aby też nie był... człowiekiem! Infantka Eulalja, ciotka króla Alfonsa XIII. napisała przed wojną światową pamiętniki pod tytułem: „J'ai voulu vivre ma vie”, — „Chciałam użyć mego życia”. Ten rozpaczliwy okrzyk, osoby związanej etykieta, obowiązkami wobec dynastji i państwa, snąc zdobywa się również z serca Edwarda VIII. Lecz nie pierwszy Edward VIII. się buntuje!

Ileż skandali, ileż przesileń wydarzyło się już przez drobną filigranową kobietę! Historycy i psychologowie twierdzą nawet, że im drobniejsza jest rączka kobiety tem mniej być energiczniejszą. Wiemy, jakie ocho znalazł ślub Zygmunta Augusta z Barbarą Gasztołdową, z domu Radziwiłłówną, i jakie sprężyny poruszono, aby małżeństwo to umożliwić. Twierdzą niektórzy, że królowa-matka, Bona Sforza, użyła popularnego w jej ojczyźnie naówczas środka pozbywania się rywali — trucizny. Dzisiaj historycy wykazali bezpodstawność tego twierdzenia. Ale nie dziwny się Bonie: jako osoba

wychowana w atmosferze polityki i interesu państwowego, „raison d'état” myślała tylko o jednym: o potomku Jagiellonów, któryby po śmierci jej syna wstąpił na tron i poprowadził nawę państwową ku dalszej chwale i potędze. Bo dynastje nie myślą kategorjami szarego człowieka, nie zastanawiają się nad szczegółami, zbyt wielkie interesy są w grze i o zbyt wielkie rzeczy tu idzie. Dynastje myślą kategorjami stuleci, epok. „Nie będę ja, to będziesz ty lub twój wnuk” — mówią sobie i przygotowują na całe wieki naprzód grunt pod przyszłą wielkość.

Po dłuższej walce rozumu z sercem przyznać musimy, że Zygmunt August postąpił samolubnie i niemądrze: gdyby był wybrał księżniczkę z domu panującego i miał potomka, historia Polski zapewne innemi poszłaby torami. Ale nie każdego stać na rozważania historyczne, nie każdy umie być tylko kronikarzem. Przeważnie nawet królowie są tylko ludźmi, odczuwającymi dobre i złe strony życia i chcącymi żyć, jak wszyscy inni. W ślady romantycznego Zygmunta Augusta poszedł Jan Sobieski. Nie mógł wprawdzie wiedzieć, żeniąc się z wdową po Tomaszu Zamoyskim, że zostanie królem, ale jakże inaczej wyglądałyby nasze dzieje, gdyby synowie jego inną miały matkę! Sceptyk mógłby temu rozumowaniu zarzucić, że nie wiadomo, czyby Jan III. miał z innego małżeństwa dzieci! Zapewne, ale trzeba było stworzyć najlepsze warunki dla przyszłej dynastji.

Ostatnie czasy pełne były konfliktów dworskich na tle mezaljansów. Celują w tem oczywiście Habsburgowie, stanowiący dziwne przeciwieństwo ścisłej logiki i spokojnej rozwagi oraz romantycznych porywów i nieokreślanych szaleństw. Tą ostatnią drogą poszedł arcyksiążę Jan Salwator, znany pod

nazwiskiem Jana Ortha, żonaty z Marią Stübel, królowa Luiza saska, z domu austriacka arcyksiężniczka, która porzuciwszy męża wyszła zamaż w r. 1907 za włoskiego śpiewaka Enrico Toselli i żyje dotąd jako hr. Montignoso w Brukseli, wkońcu arcyks. Elżbieta, wnuczka Franciszka Józefa, która rozwiódłszy się z pierwszym mężem ks. Ottonem Windischgractz, wyszła zamaż za drobnego rolnika zpod Wiednia. Największe echo oczywiście miał mezaljans arcyks. Franciszka Ferdynanda, ożenionego z Zofją hr. Chotek von Chotkowa und Wognin, mianowanej następnie księżną von Hohenberg. I tu zachodziła kwestja następcy tronu. Wkońcu zdecydowano, iż ks. Hohenberg nie będzie cesarową Austrii, pozostając morganatyczną żoną cesarza, chociaż sądzono, że Franciszek Ferdynand nie zgodzi się, zostawszy monarchą, na to skromne stanowisko żony. Ostatnie czasy dostarczyły nowego mezaljansu w szwedzkim domu panującym: oto wnuk króla Gustawa V, książę Sigvard szwedzki, drugi syn następcy tronu, ożenił się z berlińską aktorką filmową panną Patzek i zrezygnował z wszelkich przywilejów członka domu panującego, poświęcając się karierze filmowej.

Ogół ludzi z pobłażaniem mówi o tych, zdawałoby się, przeżytkach średniowiecza, nie wnikając w logikę tradycji, uświęcającej rygor „antymezaljansowe”. Pówdomni ustalenia się pojęcia małżeństwa morganatycznego jest okoliczność, że małżeństwo było w przeszłości i pozostało po dziś dzień, ważnym atutem politycznym, wejście więc do domu panującego „outsidera” jest niepożądane, bo nie przynosi korzyści państwu a najwyżej osobie panującego. Ale o niego przecież nie chodzi wcale... Przez małżeństwa państwa zdobywały całe króle-

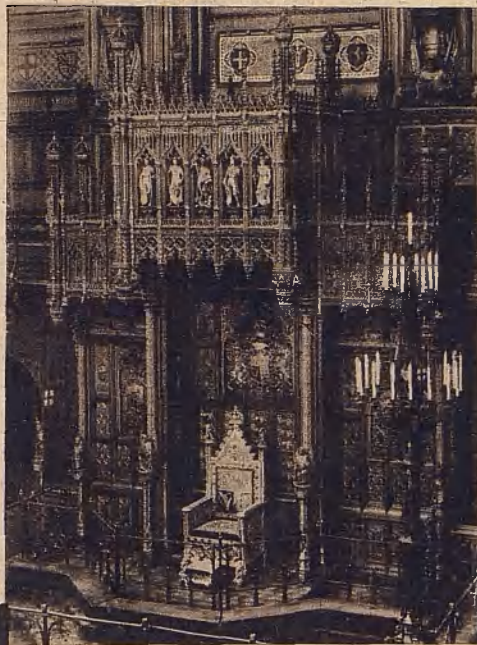
stwa: Austria panowanie nad Węgrami, Czechami, Niderlandami, Polska zyskała Litwę przez ślub Jagiełły z królową Jadwigą, Hiszpania tylko dzięki małżeństwu Ferdynanda aragońskiego z Izabellą kastylską zrosła się w jedno wielkie państwo. Nie chodziło tu o „mezaljans” w znaczeniu potocznego życia burżuazyjnego, ale o skutki polityczne, zewnętrzne i wewnętrzne. Jest natomiast ciekawą rzeczą, że również wszystkie rodziny, które niegdyś panowały w Rzeszy niemieckiej, a które pozbawione suwerenności — zostały medjaryzowane, czyli poddane pod bezpośrednie panowanie innego państwa, zachowały do r. 1918 prawa równorzędności z domami panującymi. Takich rodzin pozbawionych panowania bądź przez zabór lewego brzegu Renu przez Napoleona I. w r. 1804, bądź też przez późniejsze uchwały, było bardzo wiele. Niektórzy panowali dawniej nad dużymi terytorjami, inni nad ziemiami, które nie dorównują nawet większym majątkom polskich rodzin. Ci wszyscy książęta Hohenlohe, Salm, Solms, Bentheim, Lobkowitz, Schwarzenberg, Sayn, Leiningen, Castell, Metternich, Schönburg itd., jak również hrabiowie Schönborn, Törring, Waldbott, Wurmbrand, Ortenburg, Pappenheim itd., to dawni suwereni Rzeszy niemieckiej, równi urodzeniem „ebenbürtig” domom panującym.

A jakżeś sprawa przedstawiała się w Anglii? Otóż właściwie pojęcie mezaljansu nie istniało w prawie angielskim, a wyrobiło się dopiero zwyczajowo od dwustu lat. Zarówno król Henryk VIII, żonaty był kilkakrotnie, poza Katarzyną aragońską, z pannami, pochodzącymi jedynie z arystokracji angielskiej, jak Seymour, Boleyn, Howard itd., jak również Ryszard III, wziął za żonę Annę of Warwick, podobnie zresztą jak Edward IV, żonaty z wdową Elżbietą Woodville. Zasadniczo więc nie stoi nic na przeszkodzie, aby Edward VIII, zaślubił panią Simpson! W r. 1772 wydano, inspirowany przez Jerzego III, „Royal Marriage Act”, który postanawia, że małżeństwo każdego członka rodziny królewskiej podlega aprobacie króla, natomiast małżeństwo króla samego poddane jest jedynie jego woli i... opinii! Dziwnym zbiegiem okoliczności wspomniany „Royal Marriage Act” jest zredagowany dziwnie demokratycznie i nie stawia królowi żadnych ograniczeń. Jest to zresztą charakterystyczne dla Anglii, gdzie nie pisane słowo a opinia i zdrowy rozsądek, liczący się z konkretnym wypadkiem, decyduje o wielu rzeczach. Jedynie małżeństwo króla z katoliczką zabronione jest owym edyktem. Jeżeli chodzi o rodzinę pani Wallis Simpson, z domu Warfield, to nie nastęca ona bynajmniej więcej zastrzeżeń niż rodziny żon np. Henryka VIII. Warfieldowie to stara angielska szlachta, przybyła do Anglii z Wilhelmem Zdobywcą w r. 1066, której przodek Pagan odznaczył się w bitwie pod

Hastings i otrzymał część lasów Windsoru od króla. Jeden z jego potomków, Ryszard emigruje w r. 1662 do Ameryki, do prowincji Maryland i staje się właścicielem dóbr nad rzeką Severn. Potomek jego wygłosił podczas rewolucji amerykańskiej przeciwko Anglikom zdanie: „Nie będziemy więcej tolerować królów!” Niemniej z starej rodziny, Montague, pochodzi matka pani



Powyżej: Król Jerzy IV, z dynastji brunszwickiej, mąż pięknej mrs. Fitzherbert.



Od lewej: Marja hr. Waldegrave, małżonka morganatyczna ks. of Gloucester; portret Reynoldsa. — Mrs. Anna Horton, małżonka ks. of Cumberland.

Simpson, osiedlonej w stanie Virginia. Rodzina pani Simpson nie należała do klanu miliardów: matka jej po śmierci męża Teackle Warfield'a utrzymuje przez kilka lat pensjonat, a dopiero drugie małżeństwo z Johnem Freeman Rasin daje jej większy majątek. Piękna miss Warfield wychodzi dwukrotnie za mąż: najprzód za pilota Earla Winfield Spencera, drugi raz za Ernesta A. Simpson, z którym rok temu podobno na życzenie króla, się rozwiódł.

„Lekkomyślne” projekty małżeńskie Edwarda VIII, przypominają podobne epizody z życia jego brunszwickich przodków, przed epoką wiktoriańską: Jerzy IV, żeni się jeszcze za życia królowej z piękną miss Fitzherbert, popelniając w ten sposób bigamię, a brat Jerzego III., ks. Cumberland z wdową Horton, co powoduje jego wygnanie z dworu. Drugi brat Jerzego III., ks. Gloucester żeni się z owdowiałą w r. 1766 hrabiną of Waldegrave, nieślubną córką Earla of Orford, co również powoduje wielkie komplikacje. Dopiero od czasów Wiktora dom królewski zyskuje sympatię dzięki swym „burżuazyjnym” cnotom rodzinnym. Nieodrodnym jej wnukiem jest Jerzy V, gdy natomiast syn jego zdradza znów skłonności brunszwickie! Lecz jak na dzisiejszą Anglię jest to zbyt wielki „shocking”, aby go mogła łatwo królowi wybaczyć... Mówią, że Edward VIII, z króla stał się wielkim przemysłowcem: ze wszystkich Anglików nawarzył on bowiem najwięcej piwa!

Jan Maleszewski.

Na lewo: Tron królewski w Izbie Lordów jest wspianiem gotyckim krzesłem, bogato ozdobionem herbami haftami.



W kole: Arcyksiążę Jan Salwator przyjął po małżeństwie z Marją Stübel nazwisko Jana Orthy.



Na lewo: Podczas przyjęcia w ogrodach pałacu Buckingham, król przyjmuje ukłon dworski przedstawionych mu pań z towarzystwa londyńskiego.



ELEANORE POWELL TĄNCZĄCA GWIAZDA

Zawrotna karjera Eleanor Powell należy do rzędu typowo amerykańskich rekordów. Jeszcze niedawno temu, nikomu nieznana „bathing-girl” — jedna z tysięcy — „żołnierzyk” szarej, tańczącej armji — dziś słynna gwiazda filmowa, błyszcząca blaskiem sławy na obydwóch półkulach świata — Eleanor Powell zachwyca nas niepospolitą maestrią swej sztuki tanecznej.

W życiu jej decyduje przysłowiowy „łut szczęścia”, no i... wytrwałość. W czasie, gdy Eleanor przybyła wraz z matką do Nowego Jorku, była ona tancerką zespołową i akrobatyczną. Po miesiącach wystawiania w biurach magnatów filmowych zrozumiała, że nie ma żadnych widoków na otrzymanie pracy w filmie, jeśli nie nauczy się modnego stepa. Wyszukała więc nauczyciela i rozpoczęła z nim ćwiczenia. Na wstępie oświadczyła mu, że musi się nauczyć „stepowania” najwyżej w ciągu dziesięciu lekcji. Po trzech nabrała przekonania, że chyba nigdy nie potrafi wykonać tego dzikiego tańca. Nie mogła zrozumieć jego ducha i była najgorszą uczenicą w klasie. Dopiero na skutek próśb matki podjęła lekcje na nowo i po sześciu dniach intensywnych ćwiczeń uchwyciła nareszcie to „coś”, co decyduje o charakterze rytmiki stepa. Od tej chwili postępy w nauce rosły w zawrotnym tempie. Po dziesięciu lekcjach Eleanor Powell została zaangażowana do filmu i osiągnęła to, o czym marzyła: sławę i fortunę.

el.



Prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. Roosevelt (na prawo) w towarzystwie prezydenta Argentyny Vargasa (na lewo), podczas przyjęcia z okazji Kongresu państw południowo-amerykańskich w Buenos Aires. *Presse-Photo, Berlin.*



Dzieci japońskie, przebrane w stroje generalskie i admirałskie, udają się pod opieką swych matek do świątyni, by tam w dniu święta Chichigosan modlić się za pomyślność japońskiego oręża. *Fot. Keystone, Berlin.*

hallo!... hallo!...

— Ach, panie Henryku... jak mi żal też biednej królowej Mary. Taki skandal w rodzinie...

— O tak — panno Halino, za to królowa Wilhelmina ma pociechę z dzieci... wydaje swą Juljanę za księcia...

— I proszę pana, co on w tej Simpson widzi, że dobrze gotuje! A mało to jest dziś dziewcząt, a nie rozwódek, które dobrze gotują i z posagiem....

— Obawiam się, że narobi on Anglii porządne bigosu...

— Panie Henryku... i co będzie?

— Na dwoje babka wróżyła, albo król, albo armja pójdą na urlop...

— To straszne — takie nieszczęście przez jedną kobietę...

— A widzi pani — teraz i dwór angielski ma swoją „białą damę“, która straszy.

— Szkoda tylko, że to nie jest „Upiór na sprzedaż“...

— Ktoby tam kupić takiego upiora... ale à propos — właśnie odbyła się w Londynie premiera filmu „Rembrandt“...

— No, aktualniejszy byłby „Henryk VIII“... on też sprawiał Anglii wiele kłopotów swimi małżeństwami...

— Ach, niestety, proszę pani, tylko dziś już nie można ścinać swoich żon...

— Pan jest okrutny...

— Nie, tylko rzeczowy...

— A co słyhać w innych częściach świata?

— Prezydent Roosevelt otworzył kongres panamerykański w Buenos Aires...

Poniżej: Słynny artysta filmowy, Charles Laughton (trzeci od lewej), jego żona Elsa Lanchester i reżyser Aleksander Korda po premierze filmu „Rembrandt“ w Londynie. *Fot. Wide World, Londyn.*



— A nad czym obraduje ten kongres?

— W Ameryce ma być stworzona taka amerykańska „Liga Narodów“...

— O jej... to w Ameryce też wybuchnie wojna?...

— A u nas w kraju — są jakie dobre wiadomości?

— Tak, król rumuński Karol II przyjeżdża do nas w odwiedziny.

— To źle... Rumuni wzięli nas za żydów...

— Dlaczego panno Halino?

— Nie zna pan przysłowia — jak bida, to do żyda...

— No, nie jest tak źle... Gorzej w Hiszpanji... Tam wogóle tubylcy mają być ewakuowani z granic Hiszpanji!

— Dlaczego?

— Bo przeszkadzają walczącym... Tubylcy często przeszkadzają, są natrętni...

— A co słyhać poza tem?

— General Franco śpiewa już piosenkę „Za rok, za dzień, za chwilę, Madryt już będzie nasz...“.

— A czy znaleziono już testament Zacharowa?

— Jeszcze nie... za to znalazło się wielu jego synów... miał samych synów...

— Nie rozumiem...

— Ależ to takie proste — gdy się rodzą synowie, to wybuchnie wojna...

— A czy myśli pan, że uda się jeszcze długo utrzymać pokój w Europie?

„Trzy minuty — czy mówi się dalej!“

MIKROFON.

Poniżej: Król rumuński (w płaszczu orderu Ferdynanda) w towarzystwie swej matki królowej Marji i syna, woj. Michała w czasie odsłonięcia w Bukareszcie pomnika ku czci poległych w wielkiej wojnie. *Fot. Wide World, Londyn.*



CZY MÓWI SIĘ DALEJ?



Pani Tagliafero, urodzona w Brazylii, nosi polskie imię: Magda — jest poddana francuską, będąc zarazem obywatelką... wielkiego państwa muzyki!

Rasowa uroda najbardziej przypomina jej rodziną, a odległą Brazylię. W świecie całym znana jest jako przedstawicielka francuskiej sztuki, no i paryskiej elegancji. Piszemy — w całym świecie, ponieważ podróżuje dużo, a koncertowała już w wielu miastach Europy: w Amsterdamie, Hadze, Budapeszcie, Berlinie, Wiedniu, Oslo, Genewie, a ostatnio w Warszawie, Krakowie, Łodzi i Poznaniu.

Rozmowa z wielką artystką odbywa się w stylowym salonie, na tle którego odbija jej skromna, czarna suknia, ozdobiona tylko klejnotami. Magda Tagliafero jest cała „nastawiona” na muzykę tak, że trudno z nią mówić o czym innym.

Podbijać coraz to inną publiczność! — oto zadanie, pasjonujące każdego artystę. Zależy to jednak nie tylko od wykonawcy, ale i od atmosfery sali, od samej publiczności. Taka sytuacja emocjonuje każdorazowo człowieka, tembardziej artystkę — je-

szcze bardziej, gdy tą artystką jest Brazylijka...

— ?...?

— Mój kraj rodzinny opuściłam, mając lat trzynaście. Dzieciństwo przeżyłam wśród bajecznej, dziewiczej przyrody. Lubiłam wówczas wspinać się na drzewa i marzyć, siedząc na gałęzi... Ten okres zostawił ślad w mej duszy na całe życie! Ludzie dziwią się mej nostalgji i różnorodności aspiracji: to ciągle powrót do ojczyzny, poprzez muzykę.

Dziwnie odbiegła teraz zewnętrznie moja rozmówczyni od tych puszczy brazylijskich. Zapewnie nie marzyła wtedy o swym życiu paryskim mała Magda w Petropolis. Mając lat trzynaście, otrzymała na konkursie w konserwatorium paryskim pierwszą nagrodę, wyprzedzając siedemnastu innych odznaczonych. Już wówczas jej repertuar był wszechstronny. Grawitował raz do klasyków, to znów do muzyki nowoczesnej, której dziś jest artystką świetną i twórczynią.

— To tak trudne — mówi nam z prostotą. — Bo muzyka nowoczesna interesuje

tylko wybranych. I dlatego artystka, wierząc swemu programowi nowoczesnemu, musi narzucić go publiczności, a nie iść na kompromis. Uczciwość w muzyce nie może różnić się od tej z życia codziennego. Ta uczciwość prowadzi artystę najdalej.

— ...!

— Mówić o sobie samej? Ja tak przecież mało znaczę! To tylko moja gra, mój talent...

— Czy muzyka jest wyłącznym przejawem pani życia?

— Nie! Życie, przede wszystkim życia! Uwielbiam je ponad muzykę, ponad wszystko! W muzyce... życia jest zawsze concept jakiś, spuecjalny dla każdego! Uwielbiam życie i chyba dlatego tyle życia znajdują amatorzy w mej grze!

Ruchem ręki wskazuje jej suknię... Ona uśmiecha się:

— Oczywiście, lubię być dobrze ubrana. To łączy się z mým pojęciem wszechstronnego życia i współpracy nad pięknnością życia. Artystka szczególniej winna dbać o swą powierzchowność, winna to swej publiczności...

Tu uśmiecha się złośliwie:

— Jeśli publiczność nie zachowa wrażeń z koncertu, może pocieszy się przynajmniej wspomnieniem sukni... Suknia winna zresztą współdziałać w wytworzeniu atmosfery. Nie znaczy to, że wybieram się w ciągu wieczoru parę razy!

— Kobieta nowoczesna, Paryżanka, kochająca życie nadewszystko, musi uprawiać sporty, nieprawdaż?

— Tak! Biję rekordy... gry fortepianowej! Ale korzystam z chwil wolnych, by pływać i grać w golfa. W golfie też pobijałam rekordy, zdobywałam puchary...

Z rozmowy tej nie wynika jeszcze, dlaczego Magdę Tagliafero zważ też „królową dobroci”. Bo o tem nie mówi się głośno... Uprawia ona jeszcze jeden „sport”, dziś zapomniany, pogardzony, unikany: „sport dobroci”. Gotowa jest każdej chwili do niesienia pomocy, służenia oparciem młodym i wybijającym się, a potrzebującym pomocy artystom (nawet pianistom).

— To dziś tak rzadkie, zwłaszcza u artystów — robię aluzję.

— To kwestja odczucia... Czy w tem jest coś nadzwyczajnego? Causes justes sont toujours bonnes, n'est-ce pas?

Jakież daleką jest Magda Tagliafero w tych słowach od Paryża, jak blisko dziewiczej natury, nasuwającej myśli proste, sprawiedliwe, szlachetne...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

CIOTKA OPOWIADANIE MYŚLIWSKIE

Już na wiele lat przed powstaniem opowiadania o „Ciotce” niezbadana koleina losu musiała się dobrze napracować, ażeby zdobyć ten mise en scene swoisty.

Najpierw musiał Przedwieczny natchnąć Pana Wincentego Dzieciola do oddania syna swego Antoniego do szkoły technicznej, by ten mógł kiedyś stać się dzielnym meljorantem, musiała mu potem Nemezis wyszukać stanowisko na Kresach, a równocześnie do tego wydarzenia w dalekim ostepie stworzyć „Ciotkę”.

W dwóch tak różnych środowiskach powstałe istoty, sobie niepodobne i różne, miały stworzyć dramat bardzo swoisty, musiały wpleść w orbitę wypadków ludzi posfronnych, jak gdyby statystów, którzy ukazują się na krótko, wypowiadają swoje nieskomplikowane kwestje na arenie życia, niemniej jednak stwarzają całość akcji, którą teraz ty Czytelniku, podziwiać możesz.

Gdybyśmy zechcieli przeprowadzić analizę psychologiczną wszystkich istot, występujących w tem opowiadaniu, musielibyśmy Pana Antoniego Dzieciola określić jako łagodny typ niesmiałego piknika, „Ciotkę” jako istotę zwierzęcą z rodziny drapieżnych canidów, obarczoną jednak dziedzicznie nadmiernie wybujałym romantyzmem, a resztę osób twojej ocenie psychologicznej, mój Czytelniku, powierzyć.

Dla uzupełnienia programu tego dramatu, należałoby powiedzieć, że akcja rozgrywać się będzie w podszytej kniei, nad brzegami rzeki, którą zanotowała historia, bo nad Berezyną, że ekranem drugoplanowym będzie niebo lasów kresowych, tak czyste i tak błękitne, jak oczęta dziewcząt tego kraju i śnieg, dużo śniegu, który w takim nadmiarze dając tej ziemi Nieba, wynagrodziły jej w ten sposób brak jaśniejszej doli.



„Ciotkę“ znano w okolicy. Wiedzano, że na dalekim mszarnym ostępie wije sobie co lata gniazdo, w którym światu puszczańskiemu wydaje kilka małych wilczych istotek, znano jej trop niedostrzegalny omal, że latem, a wyraźny na białych poduchach śniegu; znano jej pieśń, pełną radosnej czułości, gdy wzywała latem rozpięzchłe swe maleństwa, pieśń ułożoną z krótkich opusów nawoływania, pełną niepokoju i pełną radości, gdy jej krótkim skowytom odpowiadały małe.

Poznawano ją także po dziełach zniszczenia. Pelzając wplask na ziemi jak wąż szary, puszysty, sunęła przez ścierniska z tłem pola zretuszona, ku pasącym się śladom wioskowym, a gdy już była blisko, wystarczał jeden sprężysty skok, ażeby dopaść jagnię czy owcę i w skomliwym beczeniu zwierzęcia, nieść je, posuwistym galopem w lasowe podszycie. Znali ją ludzie w Kolońcach, Dzieńdzinie i Porpliszczu, znali jej trop większy od tropów jej pobratymców, jej zachłanność zaborczą na ciepłe świeże mięso, jej cień, sunący między leśnymi krzami.

Kto i kiedy nazwał ją „Ciotką“ — niewiadomo. Pojawiła się nagle już jako wielki wilk-koniarz, buszowała po okolicy nieuchwytna dla tropicieli, odporna na strzał.

I ponoć straszyla. Gdy raz nocą ze chrzcina organista woronicki powracał (a chrzciny były rzetelne, trzy razy po wódkę posyłał) objawiła się drzemającemu w sianach na dwu łapach idąca, wołająca na głos ludzkim, jak wcielony wilkołak „Ciotka“ wilczyca. Organista trzy dni przeleżał i aż felczera z miasta doń wołali, który, obejrawszy chorego, doradzał przedewszystkiem żółądek wypompować, ale organista won przegnał eskułapa, twierdząc, iż niesłusznie uczeń hipokraty oświadczył go posądza i że to raczej sprawa duchowna by była, lasy od upiora wyświęcić. Nawet podobno sam pan organista na to wyświęcenie się wybrał, miast egzoreystycznych utensyljów butelkę wódki zabierając, jako najbardziej skuteczną przeciwko upiorom, co spotkało się nietylko z brakiem efektu przeciwko wilkołakowi, ale skończyło się gwałtowną admonicją, którą od swej małżonki otrzymał. Tak więc za złego ducha uchodząc, strach i szkodę sięjąc, żyła „Ciotka“ w nadberezyńskim ostępie... Gdy pierwszy mróz rolę w grudzie pościłał, a z szarego nieba zaczęły na ziemię opadać białe, cichutkie płatki śniegu, „Ciotka“ przenosiła się z mokrych ostępów na zimową sadybę w wysoki las. Syła samotnego życia i sielanki macierzyńskiej, zaczęła tęsknić za gromadą i w pierwszych dniach grudnia odnajdywała pobratymców, których grono z dnia na dzień rosło, dochodząc do 5-6 sztuk. Była wśród nich największą, najroślejszą z matek, płaskim szerokim czołem, o głęboko sadzonych jasno-zielonych ślepiach drapieży...

I wtedy właśnie zaczęła koncertować. Wychodziła pod las, gdzie upatrzyła sobie kąć zaciszny, opodal gajówki i łeb wysoko ku gwiazdom podniósłszy, zaczynała swą pieśń, godowy śpiew.

Tych nocy u gajowego Ławryna nie gaszono kopcącej lampki, a kobieta i dzieci długo w noc szeptały modlitwy.

Wtedy właśnie na scenę dramatu występuje postać Pana Dzieciola.

Przyjechał robić pomiary gospodarki leśnej, z centralnych powiatów Królestwa, po raz pierwszy goszcząc na Kresach, nie znając ni ludzi, ni przyrody tego tak odrębnego kraju. Stał przerażony w obecności wyherbowanej dostojności babei Amelji, wyfrotrowana podłoga dworu była dla niego niebezpiecznym mieczem Allego, po którym wielokrotnie musiał odbywać każdodziennie przechadzki, bas stryja Stanisława zamacał mu tętno zaleknionego serca, a czuł się do-

brze tylko wtedy, gdy mógł uciekać z panem Janowskim, leśniczym do lasu. Pojechali raz lasy oglądać, brnęli drogą po młodniakach, gdy p. Janowski schyla się i pokazuje mu ślad.

— Palrzaj pan, wilki...

— Wilki, o Boże!

— Nie bojsia pan. W dwudziestym roku baba z Karoliszek, co z dzieciukiem w las poszła, na nie zarzęnęli.

— Jakto na śmierć?

— Ho, ho tylko łapci i chusta z niej zostawszy sia byli.

Od tego czasu, pan Dzieciol wykuwał swoje plany leśne, w cichej kancelaryjce, a do lasu udawał się jedynie w zbrojnej eskorcie gajowego Arsena. I rzecz oczywista nie wiedział o „Ciotce“. Otoczenie całego dworu i ludzi, którzy w nim zamieszkiwali, traktował prawdopodobnie, jako oswojonych ludożerców, a ręczyć możnaby, że stryja Stanisława z jego sumiastami wąsami i głosem baselli, posadzał o sprawy najdziksze, nie wiedząc, że pod tą groźną powłoką ludojada, kołacze się serce dziecka.

Kiedyś pomiędzy barszczem, a sztuką mięsa stryj Stanisław wygrzmocił basem:

— Uważaj, Amelka! Felka przyjedzie. Na wigilja! A pan nie znasz go, panie Dzwoniec?

— Dzieciol jestem, przepraszam.

— Wszystko jedno, ptaszka Boża. I ten co przyjechał ma, to także frant. Jak na dziewczynę spojrz, to w omdlenie pada, a strzela, ho, ho... Kiedyści ta trzech chłopów z nagonki powalił.

Tak przygotowano pana Dzieciola do ukazania się nowego okazu. A właśnie nadchodziła wigilja.

Jak śnieżno, jak biało! Wielkie poduchy śniegu przywaliły krzaczane pokrycie puszczy, wielka gołycka świątynia sosnowego boru ubrała się w białe całuny, a nawet wiatr ucichł, stąpając tylko bezzeslestnemi krokami po konarach sosen i strąsając z nich brylanty śniegowego puchu.

Jakżeż tu nie zapolować w taki dzień wigilijny. Pogoda dekorowała las dla tego tradycyjnego obrządku tak pięknie, a niebo jeszcze poprzedniego dnia obleczone szaremi welonami mgieł, w wigilję wyjaśniało jasnym, szklanym seledynem, a anemiczne słońce zimy malowało śniegi w błękitne pają cieniów drzew... Nie było czasu na tropienie dzików, więc postanowiono brać miot po miocie, na co się zdarzy, licząc przeważnie na zająka.

— A pan w las pojedziesz! — huknął basem nad panem Dzieciolem, głos stryja Stanisława.

— Przepraszam pana... nie polujacy.

— A wódka pan pijesz?!

— Doktor mi zabronił!

— A żonatyś pan przypadkiem?!

— Jakoś się nie zdarzyło.

— Tiu, paszkustwa!!! — huknął ze wstrętem stryj i zawinął się w swoją szubę w sankach.

Był to miot pierwszy wśród małego zagajniku, a niewielkiej polanki jedliną porosłej i olchą. Cisza była zupełna, tylko gdzieś między szaremi drzewami, spłynęła jak żywy szmaragd krzykliwa sojka, gdzieś tam w rudyh krzaczach tożyny świergotwały ziębnięte sikorki. Pole widzenia przed sobą dobre, a na niewielkim pagórku, rysuje się potężna postać stryja Stanisława. Ale naganka już ruszyła. Najpierw odezwała się przyciszonymi głosami, stłumionymi przez śnieg, zaklaskała kołatka, któryś z chłopaków huknął weselej.

Oczy wypatrują niespokojnie szare podszycie lasu.

Ale w tem, o Boże! O wielki Boże!

Z tożyny wypływa szary cień. Sarna? Nie, nie sarna, cień długi, o puszystym ogonie.

idący wolno skradającego się kroku, psiego chodu drapieży, czujnego, wypatrującego.

Wilki! Minał teraz kępę świerszczyzny, jest na otwartem.

Palę z obu łuf...

To było więcej, niż emocja dla stryja Stanisława.

Ośnieżony, ze szczęściem rozetkanem w piersi, wyskakuje z sań i obsypując mokrym śniegiem posadzkę pokoi, wpada do saloniku.

A w saloniku opodal pieca siedzi babcia Amelja, zabawiana rozmową przez Dzieciola.

— Słuchaj Amelka. Czy wiesz co zabił chłopak?

— Uspokój się Stanisławie.

— Jakżeż się mnie uspokoić. „Ciotka“ zabił. Z dwóch łuf do niej wygarnął. A ta nic, tylko mordą padła w śnieg.

Nikt nie zwrócił wtedy uwagi na twarz pana Dzieciola, która musiała więcej niż przestrach wyobrażać, wiedząc o mającym nastąpić większym zjeździe rodziny, a będąc przekonanym w sercu, że ma do czynienia ze stadem barbarzyńców, nie słysząc nic o wilczych radosnych okrzykach stryja pojął jako zwiastowanie szekspirowskiego mordu.

— A pan czego stoisz gęba rozdzwawisz? — huknął staruszek na meljaranta.

— Panie.. panie... jakto, młody panicz ciotkę, ciotkę i tak nic, a cóż ona?

— No cóż, nic. W świronie na dragu powiesili.

— Hy! Jezu!!

Pan Dzieciol odwrócił się na pięcie, potknął się na posadzce, potracił lokaja w sieni, jak nieprzytomny w narzuconym kożuszku popędził do wsi.

— Zdurniał, ci co? ten Dzwoniec! Czegoż martwego wilka boja sia?

Była to pełna emocji wigilja. Tradycyjne wolne nakrycie zaścielane zwykle „dla zamorskich panów“, zajął dnia tego pan komendant policji z miasteczka.

Zaalarmowany przez Dzieciola o dokonanym przeze mnie morderstwie „na osobie bliższej krewniej“ nolens volens, spełniając swój obowiązek, przyjechał, ażeby spisać protokół. I wtedy się wszystko wydało.

Ale to nie była „Ciotka“. Zapewne któraś z jej pięknych, roślących córek. Z czarną pręgą na grzbiecie, strojna w wspaniałe puchy swego zimowego stroju.

„Ciotka“ żyje. I ponoć — jak wieść z nad Berezyny niesie — w nocie pogodne zimowe wychodzi na skraj puszczański i gwiazdom zimowym nuci swój godowy śpiew.

Feliks Dangel.

Ratuj włosy!

Trilysin

Sposób użycia:
Codziennie rano lub wieczór należy skórę głowy (nie tylko włosy) starannie zwilżyć preparatem Trilysin.

Trilysin
pomaga nawet tam, gdzie wszystkie środki zawiodły.



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA”

NAM SŁÓW NIE POTRZEBA

PIEŚŃ

Słowa:
ST. KAMYKMuzyka:
BOLEŚLAW WALLEK-WALEWSKI

Moderato.

1. Nam słów nie trze-ba wy-po-wia-dać
2. Nam słów nie trze-ba, bo ocz je-dno

u-sły, bo to u-le-cą ja-ko-by pył ma-ry. I w wir się ży-cia za-grzebią gąsiek pu-sły i złości
mgnienie nam znaczy więcej niż najdłuższe mo-wy. Bo i w prze-locie prze-sta-ny spoj-rze-nie nie da się

ludzkiej straje je pył mar-ny. Nam słów nie trzeba, bo sam u-scisk dło-ni wy-po-wie
u-jąc najczul-sze-mi slo-wy. A kie-dy war się w ser-cu na-szem wzmoże i spadnie

un poco riten.


wie-cej, niż słów mi-liar-dy. Dość mi, gdy twarz się liwa ku mojej skło-ni i przez nią przemknę pro-myk szczęścia
na nie jak cień tra-su-nék, to lu-taj żadne slo-wo nie po-mo-że, lecz go u-le-czy je-den po-ca-

bla-tu - dy, nek. Mm Mm Mm

Mm A gdy się w ser-cu zar-les-kno-ty

wzmo-że, to u-ga-si ją je-dy-ny po-ca-lu-nek.

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE



Królowa MAROTIRI

OPOWIEŚĆ
Z MÓRZ POŁUDNIOWYCH

CHARLIE

Napisał: LEONARD ŻYCKI-MALACHOWSKI.

Ilustrował: CHARLIE.

Ciąg dalszy z numeru 49-go.

i zobaczyłem, że mój towarzysz stoi przed rodzajem niszy, w której coś bieleje. W owej niszy leżał bowiem dość dobrze zachowany szkielet człowieka. Schyliłem się, by zbadać to nieoczekiwane znalezisko i stwierdziłem, że to szkielet Europejczyka. Dowodziły tego resztki ubrania, guziki, podkówki u butów, które się już rozsypały w proch, a także zardzewiała strzelba, leżąca u boku. Blizsze oględziny wskazały, że ten człowiek nie umarł naturalną śmiercią. Część czaszki była odłupana jakby kulą. Widocznie został ciężko ranny i wpełzł do owej niszy, gdzie zmarł.

A zatem nie byliśmy pierwsi na tej wyspie i odegrała się tu kiedyś jakaś tragedia! Ale kiedy?

Musiło to być dawno, gdyż strzelba należała jeszcze do rodzaju nabijanych od przodu. Zardzewiała zamek nie pozwolił na określenie, czy była to jeszcze broń skałkowa, czy też posługiwano się przy niej już tak zwanymi pistonami. Zostawiwszy rozwiązanie tej zagadki na później (należało się spodziewać, że czasu będziemy mieli aż za dużo), udaliśmy się dalej.

Niedaleko od owej niszy znaleźliśmy dość dużą jaskinię, poprostu wymarzoną na mieszkanie. Obok niej tryskało ze skały źródło, co znakomicie rozwiązywało sprawę zaopatrzenia w wodę. Lecz jaskinia była zajęta. W jej głębi znaleźliśmy znów dwa szkielety. Ze sposobu, jak one leżały, widać było, że się tu rozegrała walka. Jeden leżał na piersiach drugiego, a zardzewiałe noże, leżące między kośćmi, mówiły, jakimi narzędziami tu walczone.

I ci byli Europejczykami...

Nasuwało się teraz pytanie: o co tutaj tak zaciekle, na śmierć i życie walczone? Czyżby o żywność? Nie, bo przecież orzechów kokosowych, jadalnych ślimaków i ryb nie brakowało. Wody słodkiej też mieli pod dostatkiem.

Więc o co?

Już myślałem, że nigdy nie uda się zdobyć odpowiedzi na to pytanie, gdy nagle Malolo wyciągnął z kąta jaskini metalową szkatułkę. Była zamknięta, ale ostatecznie wszystko na świecie da się otworzyć. Rozbiliśmy ją tedy, mając przekonanie, że w niej kryje się tajemnica owych walk. Jakoż nie zawiedliśmy się.

Gdy po długim waleniu kamieniem szkatulka uległa, z ogromną ciekawością zajrzeliśmy do jej wnętrza. I wtedy zrozumieliśmy czemu tu tak zjadle walczone. Bo w szkatułce, wysłanej miękkim aksamitem, leżało

kilkadziesiąt najpiękniejszych w świecie pereł.

Jedne z nich były idealnie okrągłe, inne miały kształt gruszki, a wszystkie jaśniały w słońcu cudownym połyskiem. Wysypałem je na dłoń. Czyż to możliwe, żeby o te dziecinne zabawki, o te kuleczki o srebrzystej barwie, uderzali na siebie ludzie z nożami w ręku? A jednak... Uświadomiłem sobie, że te perły, o niezwykłych rozmiarach i blasku przedstawiają ogromną wartość. Ze ta wartość, niczem nie umotywowana czyni z nich przedmiot takiego pożądanego. Malolo patrzył obojętnie, jak przegarniałem perły w drżących trochę (przyznaję to) dłoniach.

— Krwią i zbrodnią zdobyli oni te perły i bogowie nie pozwolili im z nich korzystać. To są perły z Marotiri

— Tak przypuszczasz?

— Tak. Gdy piraci, po wymordowaniu ludności Marotiri i zrabowaniu pereł, odpłynęli, dostali się widocznie w moc huraganu i okręt ich uległ rozbiciu na tem wybrzeżu. Niewielu się wyratowało, lecz i ci pomordowali się wzajemnie. Bogowie zmacili im umysł.

Zgodziłem się bez trudu na przypuszczenia Malola, gdyż było widocznym, że ma słusność. Zarówno znalezione perły, jak i rodzaj broni, obuwi i odzieży używanych przez rozbiteków świadczyły, że to mogli być tylko piraci z Marotiri.

Tymczasem Malolo rozłożył na ziemi kawałek sukna i począł przeglądać i segregować perły. Było ich pięćdziesiąt dwie. Większość ich była okrągła, lecz kilkanaście było „barokowych”. Jedna z nich miała dziwny kształt, jakby głowy kobiecej w koronie. Malolo nazwał ją odrazu „królowa Marotiri”. Ta perła była niesłychanie „amatorska” i w Nowym Jorku daliby za nią grube pieniądze.

W Nowym Jorku... Ale jak się dostać do Nowego Jorku? Czy nie jest bardziej prawdopodobnym, że będziemy musieli tu siedzieć może i lata całe, jak owi marynarze za bunt lub przestępstwa wysadzani na bezludne wyspy. W te strony nie zapuszczają się szkurny kupców, a jeżeli kto się tu pokaże, to napewno będzie to człowiek, mający zatargi z prawem. Bo korsarstwo jeszcze i dziś nie zniknęło zupełnie z tych wód i niejeden szkuner znika nagle z powierzchni wód, powiększając rubrykę „zaginionych okrętów” a w knajpach portowych mówią, że stało się to dlatego, że jego kapitan „nie zdążył strzelić pierwszy”.

Stanowczo lepiej było siedzieć lat dziesięć na wyspie, niż dostać się z tak du-

żym ładunkiem pereł w ręce nowoczesnego korsarza.

Lecz tak czy owak — narazie nie było żadnego wyboru i trzeba się było przygotować do jak najmożliwszego spędzenia czasu na wyspie. Zostawiwszy szkatułkę w jaskini, poszliśmy na szczyt góry, skąd rozciągał się wspaniały widok na ocean. Wspaniały, boć trzeba nazwać wspaniałą potężną i bezmierną taflę wód, tak cichą i spokojną. Jakby nigdy nie zrywała się do buntu. Lecz ten bezkres, na którym nie znaczył się najmniejszy nawet skrawek ziemi, nie nastrojał wesoło.

Znaczyło to, że trzeba się było urządzić na wysepce na czas dłuższy. Zeszliśmy do jaskini i sprawiliśmy pogrzeb szkieletom. Nieprzyjemnie było ruszać je z miejsca, ale innej rady nie znaleźliśmy, a jaskinia najlepiej nadawała się do zamieszkania i ona dawała najlepsze schronienie przed słońcem i deszczem. Wyporzadziliśmy ją jak było można, nacięliśmy liści palmowych na posłanie i zaczęło się życie, w którym jeden dzień był podobny do drugiego: monotonne życie rozbiteków.

Wśród szczątków dobytku korsarzy znalazła się szczęśliwym trafem szklana lupa, więc rozniecenie ognia nie przedstawiało żadnej trudności. A Malolo nie byłby Polinezyjczykiem, żeby nie umiał z niczego porobić naczyń do gotowania i narzędzi do łowienia ryb. Zatem głodu nie cierpieliśmy i nie byliśmy zmuszeni żywić się tylko orzechami kokosowymi i surowymi rybami. Od czasu do czasu udało się schwytać żółwia i jego smaczne mięso stanowiło urozmaicenie naszego skromnego jadłospisu.

Wieczory spędzaliśmy przy lampie z orzecha kokosowego, opowiadając sobie ciekawe opowieści z naszych krajów, albo snując marzenia o tem, co będziemy robili, jak spieniężymy perły. Albo też szliśmy na szczyt góry i rozpalałiśmy ognisko (mój pomysł), które miało dać znać o nas przepływającym obok wyspy żeglarzom.

Lecz dzień za dniem, tydzień za tygodniem mijały i ratunek się nie zjawiał. Chodziłem już na sposób kanacki, to jest nago i tylko z plecionką z liści palmowych na biodrach, podtrzymywaną skórzanym pasem. Ach, prawda, zapomniałem wspomnieć o swoim pasie. Nie był to byle jaki pas, bo zrobił go jakiś przemyślny rzemieślnik w Stanach Zjednoczonych. Służył mi w pierwszym rzędzie do noszenia rewolweru, a poza tem posiadał stalowe skrytki, zamykane na misterne zamki, do przechowywania pieniędzy i dokumentów. Rewolwer wyrzuciłem, ska-

cząc do wody, a pas jednak się na coś przydał, a w razie potrzeby można było wspaniale ukryć w nim perły.

Jakoż ta potrzeba nadeszła w niedługim czasie. Pewnego dnia (był to już trzydziesty piąty dzień naszego siedzenia na wyspie) orli wzrok Malola dostrzegł zarysy żagla. Natychmiast rozpaliliśmy ognisko na szczycie góry, żeby dać znać o sobie i aż skakaliśmy z radości, gdy statek wziął kurs na wyspę. Schowaliśmy też perły do skrytek w pasie, nie chcąc drażnić licha.

Tymczasem statek zbliżał się ku wyspie, lawirując ostrożnie po nieznanych wodach. Był to szkuner dwumasztowy, dość ciężko, ale silnie zbudowany. Stanąwszy na redzie, zarzucił kotwicę i opuścił szalupę. Pobieglśmy na wybrzeże, by powitać niespodziewanych wybacwców, a tymczasem szalupa przybiła do brzegu. Wskoczył z niej i podszedł do nas człowiek w marynarskiej czapce na głowie, odziany w długą, prawie do kolan sięgającą bluzę. To bluza była czemś niezwykłym na marynarzu i przypominała raczej ubiór chińskiego kulisa.

Jakoż i właściciel jej, mimo ogorzalej, śniadej cery, był żółtoskórym. Skośne oczy i wystające kości policzkowe aż nadto dobrane o tem świadczyły. Chińczyk podszedł do nas i przyłożywszy na sposób marynarski dwa palce do czapki, rzekł: jestem kapitanem Wang. Co panów tu przyniosło w te zakazane kąty?

Nie odrazu odpowiedziałem na pytanie Chińczyka, gdyż przypomniało mi się, że o tym Wangu już niejedno słyσαμε. Urzędowo trudnił się handlem, lecz miał raczej skłonność do wyławiania ładunku z zatopionych statków, a podobno był i nie od tego, żeby najpierw pomóc statkowi zatonać. Zresztą nic nie umiano mu dowieść, a że z władzami był na bardzo dobrej stopie, więc się go nikt nie czepiał.

Jak umiałem tedy najdyplomatyczniej, opowiedziałem Wangowi o naszym wypadku, zrzucając wszystko na karb huraganu i popuszczenia steru i żagli, co sprawiło, że zadrykało szkuner aż na te wody.

Wang słuchał uprzejmie, nie przerywając mi ani słowem, a następnie jeszcze uprzejmiej poprosił nas do udania się na jego „nędzny“ statek i uważania go za swój, aż do przyjazdu na Penhryn. Przesadne chińskie zwroty zabawnie brzmiały w jego angielszczyźnie, której nawet student z Oksfordu nie mógłby nie zarzucić.

Oczywiście, że zaproszenie przyjęliśmy i ja ze swej strony nie omieszkaliśmy zapewnić gościnnego syna nieba, że postaram się go wynagrodzić w miarę możliwości, gdy tylko znajdzie się w domu.

Wang, uśmiechając się, powiedział, że sam zaszczyt przebywania w tak znakomitem towarzystwie starczy za wszelkie nagrody. Przytem wydał mi się, że jego skośne oczy zezują w kierunku mego pasa.

Wsiadliśmy po wymianie tych grzeczności do szalupy i udaliśmy się na statek. Wyglądał on dość niewinnie, choć załoga, składająca się przeważnie z awanturniczych mieszkańców wysp Salomona, patrzyła zbrojem. Wang zaprowadził nas do sporej kabiny, sąsiadującej z jego własną i umeblowaną w najczystszy chińskim stylu. Bosonogi steward yniósł nam dwa komplety ubrań, poczem kapitan zostawił nas samych, prosząc, aby toalety do porządku przywrócić, aby po doprowadzeniu toalety do porządku, przybyć do niego na obiad.

Nie kazaliśmy mu długo czekać i wkrótce siedzieliśmy już przy stole żółtoliczego kapita- na, kosztując wymyślnych przysmaków kuchni chińskiej, przyrządzonych śnać przez chińskiego kucharza. Wang bawił nas w- tworną rozmową, która w innych wypad- kach możeby nie śmieszyła, gdyż nie byłem przyzwyczajony do chińskiego stylu, lecz tu- tai trzeba było się zachować jak najuprzej- miej. Chińczycy są bardzo drażliwi na punk- cie dobrego wychowania i wszelkie uchyb- nia formom uważają za ciężką obrazę.

Wang stał na wysokości zadania i ani słowem nie zapytał o mój pas, choć widać było, że go to bardzo interesuje. Ja znów ze swej strony uważałem za niebezpieczne sam wszczynać rozmowę na ten temat. Uważałem, że to może w nim wywołać podejrzenia. Ma- lo wtedy znałem duszę Chińczyka.

Po obiedzie i po wypiciu kilku filiżanek wybornej herbaty udaliśmy się na spoczynek do naszej kabiny. Byliśmy pomęczeni tyłu przejściami i głowy nam bardzo ciążyły.

Ciężki to był sen i nieprzyjemne przebu- dzenie. Głowa mię bolała, a kiedy podnio- słem się, żeby się napić wody, zobaczyłem, że pasa nie było. Gorączkowo poczęłem go szukać wszędzie wokół siebie, nie będąc pewnym, czy nie zdjąłem go półświadomie przed snem. Lecz nie — pas zniknął. To była sprawka Wang. Podbiegłem do Malola, go- rączkowym szeptem, wtajemniczając go w przebieg wypadków. Jeszcze nie skończy- łem, gdy cichutko odchyliły się drzwi i wszedł Wang. Teraz zauważyłem, że ten człowiek ma w swych ruchach coś ty- grysiego.

— Jakże się panom spało? — zapytał uprzejmie

— Łotrzel! — krzyknąłem niepotrzebnie zbyt głośno — oddaj moje perły.

Wang udał wielkie zdziwienie. — Perły? Jakże perły? Przecież panowie żadnych pereł przy wsiadaniu na mój sta- tek nie mieli.

Uspokoilem się. Pęco się niepotrzebnie rzucić, kiedy to nic nie pomoże, a może pogorszyć naszą sytuację. Jesteśmy bądź co bądź na łasce tego nędznika.

— Kapitanie Wang — rzekłem możliwie chłodno — wie pan tak dobrze, jak i ja, że te perły są tutaj i o więcej — ma je pan w swoim posiadaniu. Te perły zostały zdo- byte ciężkim trudem i są nie tylko moją własnością. Zechce pan je nam zwrócić, jeże- li nie chce pan wejść w konflikt z prawem.

— Konflikt z prawem? Pan jest zabawny, mister Kuarti. Znalazłem was na wysepce, gdzie zapewne byłibyście musieli siedzieć jeszcze bardzo długo i mam prawo nazna- czyć cenę za przewóz, jaka mi się podoba. Jeżeli nie zgadzacie się, well, mogą was tam odwieźć z powrotem i za to już nic nie poli- czę. A co do pereł — radzę panu zapomnieć o nich w dobrze zrozumianym interesie wła- snym.

Bezczelność Chińczyka tak mię oburzyła, że straciłem odrazu cały mój (nieco sztucz- ny) chłód. Jednym skokiem dopadłem Wang- a i chwyciłem go za gardło. Lecz widocznie był on przygotowany na podobną ewentual- ność, gdyż w tej chwili wpadło kilku czar- nych drabów i rzucili się na nas. Po krótkiej walce leżeliśmy powiązani, jak barany.

— No, a co teraz? — zapytał Wang, który się przyglądał z uśmiechem całej tej walce.

Postanowiłem nie odpowiadać ani słowem na wszelkie zaczepki Chińczyka i zaciąłem się w pogardliwym milczeniu.

— Nie mamy chęci na rozmowę, dobrze, nie będę zmuszał panów do rozmowy. Ale ponieważ nadużyliście prawa gościnności i obraziliście mnie, pana i władcę tego sta- ku, pozostaje mi jedno. Poprosić was o opu- szczenie mego statku... i to... zaraz. A ponie- waż panom przyszłoby to z trudnością, po- staram się jeszcze i w tem wam dopomóc.

Wydał rozkaz i czarni majtkowie chwyci- li nas, jak dwa worki i wynieśli na pokład. Potem przynieśli szeroką deskę i oparli ją o burtę

— Czyżby oni chcieli nam urządzić mary- narski pogrzeb za życia? — zapytałem mego towarzysza. Lecz Malolo nie odpowiedział na to retoryczne pytanie. Oczy miał szeroko rozwarte i patrzył kędyś w przestrzeń. Na- głe zaczął śpiewać. Nie byłoby w tem nic dziwnego, bo Polinezyjczycy bardzo lubią śpiew i przy każdej okazji śpiewają. Więc może i Malolo w ten sposób żegnał się z ży- ciem. Ale, mimo, że już dość dobrze rozumi- ałem język wyspiarzy, nic nie mogłem z jego śpiewu zrozumieć. Miałem tylko wra-

żenie, że Malolo śpiewa jakąś bardzo starą pieśń w języku znanym zapewne tylko ka- pitanom.

Lecz nie — i majtkowie Wang widocznie zrozumieli pieśń Malola, gdyż stanęli jak wryci. Słuchali jej przez chwilę i nagle, jak- by pchnięci jakąś potężną mocą, rzucili się na stojącego w pobliżu kapitana. Kilka chwil i Wang leżał skrępowany na pokładzie. W chwilę potem nasze więzy zostały rozcię- te, a czarni majtkowie padli na twarz przed Malolem, bijąc mu głębokie pokłony. Potem pobiegli do kambuza i przyprowadzili sta- rego, związanego Chińczyka

— To Ah-fu, kucharz — rzekł jeden z nich.

Nic nie rozumiejąc, co się stało, zwróciłem pytające spojrzenie na Malola.

— To są, tak jak i ja, „tancerze ognia“. A że jestem między nimi czemś, więc do- wiedziawszy się o tem, wolą mnie służyć, i z temu złotemu psu.

Wtedy to nauczyłem się niczemu nie dzi- wić. Objąłem komendę statku, jako jedyny z całego grona, umiejący określić pozycję geograficzną okrętu, Chińczyków kazałem zamknąć w kajucie i skierowałem statek ku wyspie Penhryn. Ta część podróży minęła nam bez żadnych przygód. Oczywiście, że perły odnalazłem. Wang umieścił je w naj- pewniejszym, jak mu się wydawało, schro- nieniu. W woreczku na piersiach. Trzeba przyznać, że przegrawszy swoją grę, zach- otywał się nadzwyczaj spokojnie i nawet zdobył się na uprzejmą rozmowę ze mną. Tylko z oczu było mu widać, jak straszną pała ku mnie nienawiścią. Ale, że oczu ba- zyliżka nie posiadał, więc nikomu nie mógł nimi krzywdy zrobić.

Tak więc do wyspy dojechalismi spokoj- nie. Tylko Wang miał potem długo kłopotu, bo mu cała załoga zdezerterowała i nie mógł na naszej wyspie znaleźć nikogo, coby z nim chciał jechać.

A potem nastąpiła najprzyjemniejsza część przygód. Wyjazd do Nowego Jorku w celu sprzedaży pereł. Nie odrazu udało się je spieniężyć, ale też polskie przysłowie mówi: co nagle, to po dable. Wreszcie doprowa- dziłem wszystko do pomyślnego końca i do- stałem bardzo porządną paczkę dolarów. A najwięcej się ludzie dobijali o „królową Marolin“. Kupił ją podobno pewien młody europejski monarcha dla swej narzeczonej. Zaiste, królewski to był dar.

Jak triumfator powróciłem na wyspę. Po- dzieliłem się po bratersku z Malolem i obda- rzyłem hojnie wszystkich, co nam pomogli do zdobycia majątku, względnie ich rodziny. Nie potrzebuję dodawać, że i Kahuna się por- ządnie pożywił.

I kiedy już wszystko załatwiłem i zosta- łem z dobrze wypchanym portfelem — ogar- nęła mnie tęsknota za Polską.

Jeszcze raz zobaczyć te pola, rozalowane dojrzewającym żytem, żółte od łubinu i czer- wieniejące od koniczyzny. Zobaczyć Tatry z ośnieżonymi szczytami i posłuchać prasta- rego hejnału w królewskim Krakowie.

Pożegnałem Malola, który jest dziś wiel- kim panem na swej wyspie i zbudował sobie dom, o którym mówią na całym archipelagu, pożegnałem Panettona i Lelonga, którzy smęt- nie wdychali, słysząc o mych projektach powrotu do ojczyzny, urządziłem wspaniałe przyjęcie dla mych przyjaciół-wyspiarzy i wsiadłem na elegancki parowiec, idący z Sydney do Liverpoolu.

A kiedy przejeżdżałem przez kanał Panam- ski, poznałem to miejsce, w którym pomyli- łem okręty i pomyślałem: Jakby też się ukształtowało moje życie, gdybym naprawdę się dostał na okręt idący do Liverpoolu.

A teraz jestem w Polsce. I nie żałuję tej mojej pomyłki. A nieraz nawet myślę, że mo- że jeszcze nadejdzie czas, że udam się znów, tym razem dobrowolnie, na wyspę. Żeby znów posłuchać dźwięku gitar i cudnego śpiewu dziedwcał polinezyjskich. I cudniej- szego nad ich śpiew szumu oceanu, rozbija- jącego swe fale na koralowych piaskach wysp.

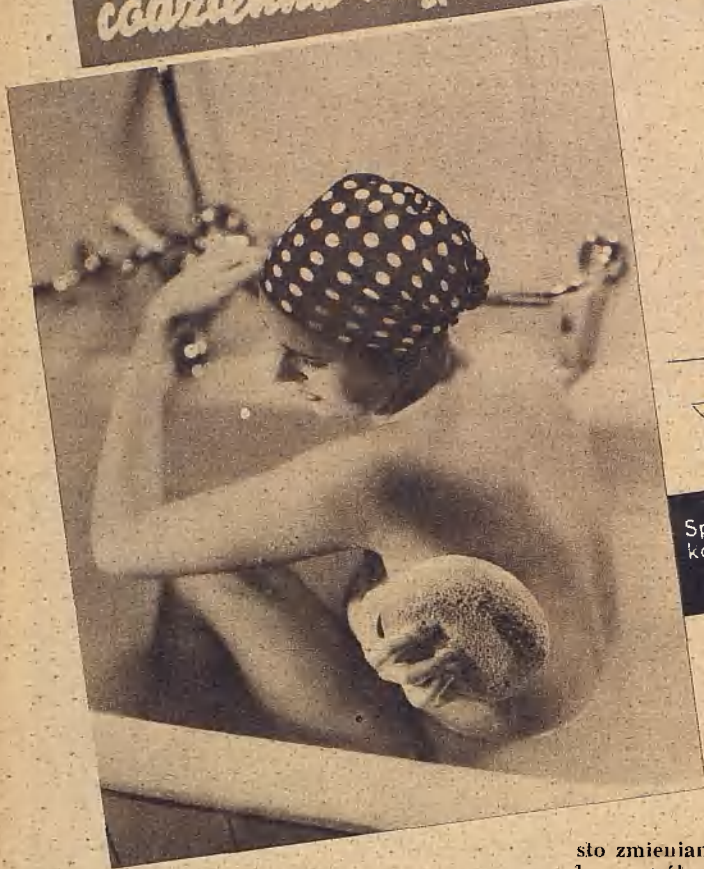


HALINA ŁĘCKA

artystka teatru łódzkiego, w roli Amelji w tragedji Słowackiego „Mazepa”

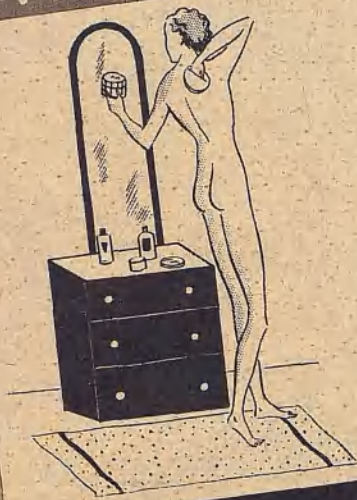
SALON PIĘKNOŚCI "ASA"

codzienna kąpiel - najlepszym środkiem kosmetycznym



Bez pomocy gąbki lub szczotki na długiej rączce „nie zajdziemy daleko“...

Fot. Schostal — Berlin.



Specjalny puder, stosowany po kąpielach, nadaje skórze pożądaną matowość...

Uderzać ma nas przede wszystkim wzorowa czystość. Ściany wyłożone kafelkami. Podłoga przykryta słomianą matą, uchroni nogi od zimna kamiennej posadzki. Wanna niech błyszczy od czystości, choćby należała do tych najskromniejszych. Często

zmieniane ręczniki, grube płaszcze kąpielowe, półeczki, zastawione przyborami do mycia. Łagodna temperatura, dużo światła, rześwa wilgotność powietrza podziałają zachęcająco na każdego, kto tu wejdzie.

Pani domu reguluje czas kąpeli. Znać się powinna na tem doskonale. Rozróżniać kąpiel gorącą, letnią i zimną. Wiedzieć, że ta pierwsza nie może być zbyt często używana, ani przedłużana, bo wyjąławią skórę, zwłaszcza gdy używa się mydła równocześnie i w takiej namylonej wodzie dłużej pozostaje. Zatyka ona pory skóry i wyklucza jej regenerację, która ma być skutkiem każdej kąpeli. To też mycie mydłem odbywać się powinno osobno, poczem dopiero po spłókaniu brać należy właściwą kąpiel.

Najzdrowsza jest bezwzględnie codzienna kąpiel zimna o 18—20° Celsjusza, ale nie każdy organizm jest na tyle zahartowany, aby ją powszechnie stosować. Jeżeli natomiast poprzedzi ją kilka ćwiczeń gimnastycznych i zmywanie całego ciała przy pomocy grubej rękawicy kąpielowej, łatwo się do niej przyzwycząć, tak, iż staje się codzienną koniecznością organizmu. W ciepłej łaźni zmywanie zimną wodą nie sprawia żadnej przykrości. Przygotujmy do tego na małej miedniczce wodę o wymienionej temperaturze. Rękawicą, gąbką naturalną lub gumową, które zwilża się w wodzie i wyciska, nacieramy ciało od dołu do góry; zaczynając od nóg. Za każdym razem rękawicę na nowo się zwilża i wyciska, nacierając się coraz wyżej. W ten sposób ochładzamy kolejno całe ciało, analogicznie do tego, jak kiedy wchodzimy do zimnej wody, zanurzając się w niej coraz głębiej, aż po szyję. Ruchy wykonujemy prętem szybko i żywe, bo i ten moment decyduje o utrzymaniu należytej temperatury ciała.

Następna czynność, to masaż za pomocą uderzeń rękami po całej powierzchni ciała:

potem szybko wycieramy się grubym ręcznikiem, co powoduje szybszy obieg krwi. Kto jest na tyle zahartowany, aby po nacieraniu wziąć całą zimną kąpiel w wannie, wykonuje masaż i wytarcie grubym ręcznikiem po kąpielach, następującej bezpośrednio po nacieraniu.

Dla pań bardzo polecane są obecnie wieczorne kąpiele nasiadowe, ciepłe, 38°,brane 3 razy na tydzień po 20 minut. Ich krzepiące działanie wzmaga znacznie dodatek ziół aromatycznych. Dwa razy na tydzień daje się do kąpeli odwar z rumianku, skrzypu, rozmarynu, tymianku i jałowca. Wszystkie te zioła parzy się i przez szmatkę precedza do kąpeli. Raz na tydzień dodaje się do nasiadowki garść soli morskiej. Po 20 minutach nasiadowki, osusza się skórę i wchodzi na parę minut do letniej wody w wannie dla zupełnego opłókania. Takie kąpiele pobudzają silnie obieg krwi, asekurując organizm przed wieloma chorobami wewnętrznymi. Przypisują im skuteczne działanie na zaczerwienienie rąk i nosa i chorobliwą bladłość warg oraz dziąseł.

Wybitnie uspokajająco działają kąpiele w naparze igliwia, które można sobie własnoręcznie nagromadzić latem, lub też nabywać w aptece. Zebrane igliwie naciąga pół godziny w gotującej wodzie, preparaty apteczne rozpuszczają się w wodzie zaraz.

Orzeźwiająca kąpiel uzyskamy, wkładając do woreczka 200 g sody krystalicznej, oraz po 5 g lawendy, tymianku i rozmarynu. Woreczek wieszamy pod kranem i przez niego przepuszczamy wodę do wanny.

Na polepszenie apetytu można zastosować kąpiel następująca: 88 g siarczanu sodowego, 30 g chloru sodowego, 80 g węglanu sodowego.

Na dobry sen działa znakomicie kąpiel z lipowego kwiatu. Zagotować 1 kg kwiatu lipowego w 5 litrach wody przez kwadrans i precedzić do wanny.

Zakres kąpeli ziółowych i mineralnych jest olbrzymi i gotowych preparatów, najrozmaitszych soli kąpielowych jest również wiele. Dla zdrowego organizmu, który chcemy racjonalnie konserwować, najlepsza jest zwyczajna, codzienna zimna kąpiel, stosowana w odpowiednich warunkach ciepłej zacisznej łaźni.

* * *

Porównajmy jeszcze kąpiele dzisiejsze z temi, które przekazała nam historia: Poppea, żona Nerona, kąpała się w mleku oślic.

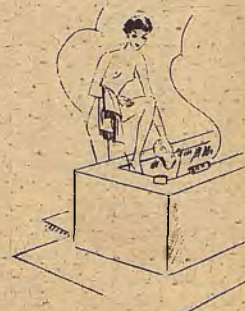
Madame Tallien używała kąpeli z przecieranych do wody poziomek i malin, poczem nacierało jej ciało przecięcieradłem zwilżanem w perfumowanym mleku.

Ninon de Lenclos pozostawiła nam dokładną receptę swych kąpeli: rozczyń 8 g soli i 8 g sody, to jeden jej składnik, — 3 łyżki miodu, rozpuszczonego w 750 g mleka, to składnik drugi.

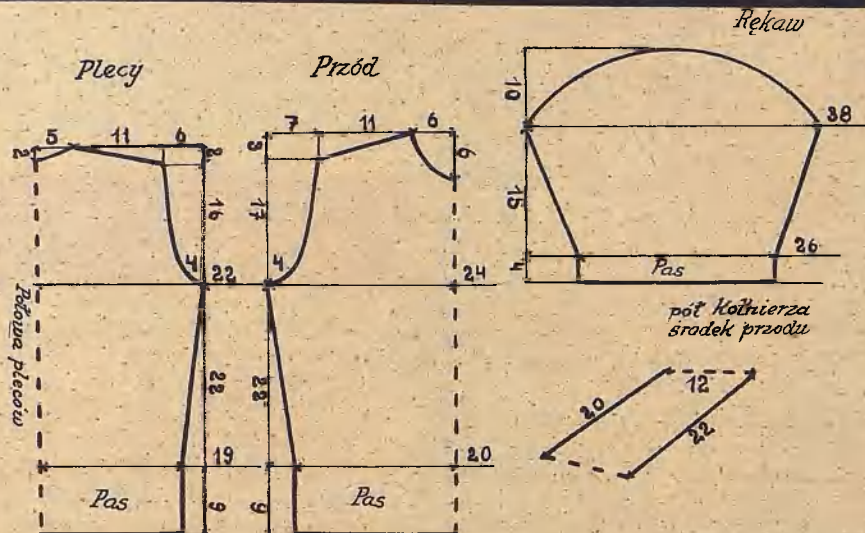
Nowoczesna kosmetyka zadowala się nawet zwyczajną zimną wodą, choć zakres jej możliwości kąpielowych jest niezmierny w rozlicznych specyfikach przemysłu perfumeryjnego.

Elwira.

Na prawo: Pierwszy „ranny krok” pięknej pani...



ZROBIĘ * TO * SAMĄ

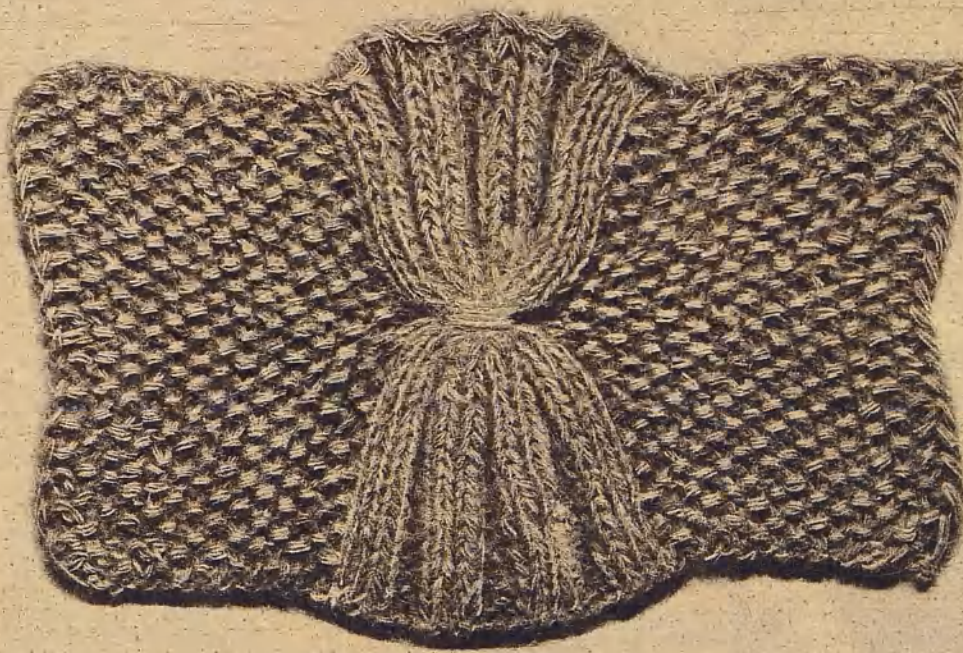


1.5cm = 10cm

PULLOVER Z MIĘKKIEJ WĘŁNY

Pullover, którego fotografię reprodukowaliśmy obok, łatwy jest do zrobienia, a poza tym posiada dwie cenne zalety: wzór jest szczególnie efektowny, a na wykonanie go nie potrzeba tyle czasu, ile na kombinowane wzory, które ciągle w robocie trzeba kontrolować, licząc, mierząc itd.

Najlepiej przećwiczyć osobno technikę tego wzoru na drutach według reprodukowanej obok próbki. Robimy łańcuszek wstępny, względnie przygotowujemy na dwóch drutach potrzebną tu ilość oczek, a więc 63. Pierwszych 21 oczek robimy na przemian oczko wprost, oczko nawywrót. Następnie 3 oczka wprost, 3 nawywrót, 3 wprost, 3 nawywrót, 3 wprost, 3 nawywrót, 3 wprost. Wreszcie trzecia część wzoru znów 21 oczek raz wprost, raz nawywrót. Obracamy robotę i wykonujemy w 1-szej i 3-ciej części te same ścięgi, co w pierwszym rzędzie, ale w odwrotnym porządku. Nad każdym oczkiem wprost oczko nawywrót, nad każdym nawywrót, oczko wprost. Część



Fragment wzoru pullovera do osobnego przećwiczenia.

Na lewo: Oto jak wygląda piękny pullover, o desenie gwiazdkowym, wykonany na drutach.

Fot. P. Feldschorek — Wiedeń.

środkowa idzie jak w poprzednim rzędzie: zawsze 3 wprost, 3 nawywrót ponad sobą.

Tak wykonuje się 30 rzędów, potem desień się przestawia. Nad tłem przychodzą prążki, wiązane później w połowie nitką w tym samym kolorze, jako gwiazdki, a nad prążkami przychodzi tło.

Po wystudjowaniu wzoru przystępujemy do wykonania pulloveru, na który trzeba sobie przygotować formę, skrojoną z grubszego papieru, a wyrysowaną na podstawie danych, jakie mamy na zamieszczonych obok rysunkach, które stosownie do wymiarów danej osoby trzeba zwęzić czy poszerzyć.

Robotę zaczynamy od dołu w dwóch częściach, a to przód i plecy osobno. Ilość oczek na początku roboty zależna jest od wielkości formy, jak również od grubości wełny i gęstości wykonania techniki druto-

wej, która jest indywidualna dla każdej wykonawczyni. Przeciętnie przy cienkiej wełnie, drutach nr. 3 i na średnią wielkość, trzeba liczyć 130 oczek tak na przód, jak i na plecy.

Zaczynamy robotę od 9-centymetrowego pasa, który przytrzymuje i ściga pullover, a który wykonujemy: 2 oczka wprost, 2 nawywrót itd.

Po zrobieniu w ten sposób pasa, szerokiego na 9 cm, musimy obliczyć oczka na następujący wzór w ten sposób, aby gwiazdka umieszczona była w środku, a od niej reszta wzoru, zależnie jak wypadnie, prawdopodobnie 3 gwiazdki i 4 tła. Skrajne pola tła wypaść mogą na mniejszą niż 21 ilość oczek, ale to dla wzoru jest obojętne. I tak później pod pachami trzeba robotę poszerzać, to znów na wszycie rękawów — zwęzić. Przy wykonaniu pleców trzeba pamiętać, aby od góry zostawić rozcięcie na wciąganie pullovera, licząc na nie 5—7 cm.

Przy robocie rękawa, zaczynamy pasem: 2 wprost, 2 nawywrót, do wysokości 4 cm, poczem rozliczamy oczka, aby gwiazdka wypadła w środku i resztę wykonujemy podług formy.

Osobno wykonujemy kołnierza, który się potem wszywa w pullover. Przygotować 160 oczek i kolorową nitką zaznaczyć sobie od-

Powyżej, na lewo: Schemat, według którego należy wykonać pullover.



Mewa.

Strój domowy

PIĘKNEJ

PANI



Na lewo w kole: Marlena Dietrich w filmie „Rycerz bez zbroji”. Fot. Lorant — Londyn.

Niedawno jedno z pism kobiecych ogłosiło dla swych czytelniczek ankietę, sformułowaną w sposób następujący: „dla kogo się Pani ubiera?” Część kobiet odpowiedziała szczerze i prosto, że dla mężczyzn, względnie dla jednego mężczyzny. Inne wy-

Poniżej: Piękny negliz Marleny Dietrich z powiewnej gazy z rękawami z plisowanych falbanek.



Na lewo: Oryginalna pidżama z crêpe satyn podkreśla urok postaci Gail Patrick, gwiazdy amerykańskiego filmu.

toffe, których „wieczorowość” poznać można jedynie po wysokości wykręconych obcasów. I te kobiety mają pretensję do elegancji i wytworności!

Tak, moje Panie! Nie wystarczy ubierać się szykownie ku podziwowi mężczyzn i za zdrości przyjaciółek. Trzeba estetykę swej osoby uprawiać przedewszystkiem w domu i pamiętać o tem, że prawdziwa dama jest zawsze ubrana tak, aby każdej chwili móc pokazać się tym, na których jej najwięcej zależy. Przy skromnym nawet budżecie zawsze znajdzie się miejsce na gustowny i estetyczny strój domowy, na który prawdziwie elegancka kobieta kładzie największy nacisk. Dziś, gdy praca zawodowa tak wiele kobiet zmusza do spędzania długich godzin poza domem i do odpowiednio „surowego” i prostego stroju, jakże miło po powrocie do domu zrzucić z siebie „zawodową skórę” i włożyć ładny i wygodny szlafroczek, szarmonizowany z estetycznym i przytulnym charakterem domowego wnętrza. Podobnie i poranny negliz powinien być staranny i kokietyrny, aby już pierwsze spojrzenie w zwierciadło wprawiało nas od rana w dobry nastrój.

Dzisiejsza moda „rozbudowała” ogromnie całą dziedzinę neglizów i domowych strojów kobiecych, odbierając zdecydowanie palmę pierwszeństwa opatrzonej już dziś piżamie. Przez długie lata kobiety nosiły spodnie w domu i na plaży zupełnie bezkrytycznie, nie zastanawiając się nad tem, czy im w tem naprawdę do twarzy. A stwierdzić trzeba, że tylko bardzo nieliczne panie zyskiwały w tym stroju, podczas gdy większość specjała sobie figurę tym zasadniczo dla kobiety niezbyt korzystnym strojem. Dziś mówi się słusznie o zmierzchu tej piżamowej mody, a szlafrok i strojny tea-gown pomalutku zajmują jej miejsce.

Jakże powinien wyglądać domowy strój wytwornej pani? To zależy przedewszystkiem od typu i uosobienia kobiety, która go ma nosić, a także od jego przeznaczenia. Kobiety lubiące prostotę i wygodę, najchę-

znały, że stroją się dla przyjaciółek, które z jednej strony najlepiej umieją ocenić „klasę” danej toalety, z drugiej strony są zazdrosne, więc przyjemnie jest im robić na złość. Ogromna jednak większość odpowiedziała, że lubią się ubierać przedewszystkiem dla siebie. Aby sprawdzić szczerłość ich odpowiedzi, należałoby je podpatrzeć, jak ubierają się w domu, w czterech ścianach swego mieszkania, gdy nikt na nie nie patrzy. Strój domowy jest bowiem najlepszym miernikiem prawdziwej elegancji i poczucia estetycznego, właśnie dlatego, że nie podlega żadnemu przymusowi snobizmu czy próżności, a nawet wymyka się

niej noszą na rano skromne szlafroki o kroju męskim, z długimi rękawami, obszernymi kieszeniami, wykończone małym kołnierzem i szerokimi renwersami. Prostota takiego porannego neglizu w połączeniu z pięknym gatunkiem materiału, z jakiego jest wykonany, posiada niewątpliwie charakter wysokiej elegancji. Najczęściej szlafroki takie robi się z grubego jedwabiu, t. zw. krawatowego, z miękkiego kaszmiru lub lżejszej wełny. Ostatnio lansowane są na tego typu szlafroki jedwabie we wzory tureckie, uzupełnione odpowiedniego koloru ha-

reau z lśniącego jedwabiu. Modne są również przybrania z futra, szczególnie przy szerokich fantazyjnych rękawach. Jedną z najbardziej udanych kreacji pewnej firmy paryskiej był tea-gown z aksamitu „infroissable“ w kolorze „iris noir“ z szerokimi rękawami z różnych strusich piór.

Takie luksusowe suknie domowe przeznaczone są oczywiście dla kobiet bardzo zamożnych i prowadzących odpowiedni tryb życia. Lecz prawie każda z pań potrafi sobie obmyśleć znacznie taniej ład-



Ranne „dolce far niente“ Gail Patrick.

Na prawo: „Saut de lit“ z przejrzystej gazy, włożone na nocną koszulkę z drobno plisowanej krępy, harmonizuje z subtelną urodą Caroli Lombard.

flowanemi zamszowemi pantoflami, również o charakterze orientalnym. Na zimę bardzo ładnie wyglądają także szlafroczyki z jedwabiu „satin“, podbite ciepłą wataliną i pikowane we wzory.

Neglizje strojniesz, o bardzo kobiecej linii robi się dziś z lśniącego „satin“, ozdabiając je fantazyjnymi plisowanymi rękawami, przymarszczeniami lub też ciemniejszymi szarfami, kontrastującymi w kolorze z pastelowym odcieniem szlafrocka. Bardzo modne jest obecnie połączenie koloru „paille“ z ciemno-niebieskim, wpadającym w lila. Na jesiennych rewjach widywano się też strojne „saut de lit“ z lżejszych jedwabów, przybranych koronkami, a jako ostatni krzyk mody — z żorżety w kolorowe kwiaty, co wygląda bardzo młodo i powiewnie.

Ważne miejsce w stroju domowym pięknej pani zajmują dziś przede wszystkim strojne tea-gowns, nie będące właściwie neglizem, a przeznaczone na wieczury spędzane w domu, nawet w gronie przyjaciół. Wykonuje się je z luksusowych materiałów, z ciężkich jedwabi, z miękkiej kaszmirowej wełny, a przede wszystkim z aksamitu. Od zwykłej wieczorowej sukni różnią się one jedynie swobodniejszym i fantazyjniejszym krojem i w przeciwieństwie do niej są niemal zupełnie pozbawione dekolty i posiadają z reguły długie rękawy. Krój ich przypomina często wieczorowe płaszcze: są wcięte w pasie, kłozowe ku dołowi rozszerzone, rękawy mają często wąskie, a przy szyi wykończone są kołnierzem lub wyłogami. Bardzo piękne są tea-gowny z czarnego velour transparent, otwierające się z przodu na różowe lub lila-rose four-



Szlafroczyk Sylwii Sidney z czarnego aksamitu, ozdobiony jest wyłogami i mankietami z jaśniejszego jedwabiu.

ny tea-gown, na który łatwo się da włożyć po pewnych przeróbkach niezbyt już modną wieczorową suknię z poprzednich sezonów. Pamiętać tylko należy, że przy skromniejszych środkach lepiej zdecydować się na model prostszy w kroju i przybraniu, aby zbyt pretensjonalny tea-gown nie stał się poprostu karykaturą wieczorowej sukni.

Lady Like.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3-4 osoby.

CONSOMME DO ZUPY RYBNEJ. 6 dkg masła uciera się, dodając potrosze 2 łyżki mleka, 3 żółtka oraz szczyptę soli. Wkońcu dodaje się pianę z trzech białek, dosypując łyżkami 8 dkg mąki uważnie, aby piany zbyt nie rozetrzeć. Lekką tą masą napelnia się małe, masłem wysmarowane i mąką wysypane foremki i piecze w piecyku lub gotuje na parze. W braku foremek można użyć rondelka i po upieczeniu wzgl. ugotowaniu na parze, krajać w zgrabne kawałki i podawać osobno lub też włożyć do zupy tuż przed podaniem, gdyż przy dłuższym leżeniu w zupie naciągają zbytnią wilgocią i stają się za miękkie.

KARP NADZIEWANY. Dwukilogramowego karpia oczyszczonego z łusek i wymytego rozcina się przez całą długość brzucha i wyjmując ostrożnie od wewnątrz kość grzbietową i ości, uważając, aby skóry nie przeciąć. Ogon i pletwy odcina się nożyczkami. Tak przygotowaną rybę napelnia się nadzianką (przepis poniżej), zaszywa ją dość gęsto, aby masa nie wypłynęła, smaruje z obu stron grubo masłem sardelowym, utartym z 10 dkg masła i 3 sardelki, i piecze w brytwance przy częstym polewaniu. Upieczoną rybę wyjmuje się na półmisek, sos zaprawia się 1/4 l śmietany rozbitej z łyżką mąki. Sos podaje się osobno. **Nadzianka do ryby:** Dwie w mleku rozmoczone i następnie wyciśnięte bulki rozciera się z 6 dkg masła i 4 żółtkami oraz szczyptą soli. Mleczko wątróbki kraje się w kawałki i dodaje do masy. Wkońcu dodaje się pianę z 2 białek i parę łyżek tartej bulki, o ile masa okaże się za wolna. Łyżeczka siekanej pietruszki, kopru lub szczyptę koperku podnosi wygląd i smak nadzianki. Karpia nadziewanego podaje się pokrajanego ostrym nożem w plastry i złożonego powtórnie w całość. Półmisek ubiera się zielenią i krokietkami lub knedelkami z reszty nadzianki.

SANDACZ NA NIEBIESKO. Oczyszczoną rybę soli się od wewnątrz, nie płócając jej przedtem. Sól nie śmie dotknąć skór, aby się kolor nie zmienił. Pół godziny ina spoczywać, poczem zalewa się ją wrzącym octem, z czego otrzymuje piękny kolor niebieski. Po pięciu minutach wyjmuje się rybę z octu i wkłada do gorącego wywaru z jarzyn, które należy przed włożeniem ryby usunąć i wywar posolić. Rybę ugotowaną układa się na długim półmisku grzbietem do góry, polewa rumianem masłem i posypuje siekanym twarogiem, jajem. Brzegami układa się krokietki ziemniaczane lub kulki wykrawane z ziemniaków, kruche półksiężycy i t. p. Osobno można podać sos holenderski ubity na parze, z rosółu z pod ryby, żółtka, soku cytrynowego i oliwy. Co do proporcji liczymy na osobę 1 żółtko, łyżkę oliwy lub roztopionego masła, dwie łyżki rosółu i na każde 2 żółtka sok z połówki cytryny, szczyptę soli i białego pieprzu. Wszystkie dodatki ubija się na parze aż się zacznie podnosić i dobrze zgęstnieje.

DOBRY I PEWNY MIODOWNIK. 25 dkg miodu i 12 dkg cukru rozgrzać silnie, mieszając, następnie ostudzić, dodać parę goździków i cynamonu miało utłuczonych, oraz 5 dkg siekanych orzechów, 5 dkg smażonych skórek pomarańczowych, łyżeczkę potażu, rozpuszczonego w kieliszku rumu, kieliszek wody, 2 całe jaja rozbite na pianę, wkońcu 20 dkg mąki żytniej. Wymieszaną masę wlać do wysmarowanej masłem i wysypanej mąką formy (może być zwykły rondel) i piec, stopniując ciepło przez całą godzinę. Chcąc mieć ten sam miodownik z nadzianką, należy podwyższyć ilość mąki na 25 dkg, nalać do rondelka połowę ciasta, nałożyć nadziankę z orzechów lub migdałów utartych z miodem lub łyżką smażonej róży i wlać drugą połowę ciasta.

TORT ŚWIĄTECZNY. 25 dkg nieparzonych migdałów mielonych, 25 dkg mączki cukrowej, sok z 2 cytryn i pianę z 4 białek wymieszać na jednolitą masę i upiec w dużej tortownicy. Będzie to spód tortu. Krem ciemny: 25 dkg masła deserowego utrzeć na pianę, potem dodawać po łyżce 20 dkg mączki cukrowej oraz 25 dkg rozmiękczonej w ciepłej czekolady, ucierając pilnie przez 20-30 minut. Masę tę dzieli się na dwie połowy, z których jedną pokrywa się poprzednio upieczony i zupełnie wystudzony spód tortu (najlepiej upiec go dzień naprzód). Krem ciemny: 10 dkg parzonych bez łupki migdałów zmięć, dodać dwie pełne łyżki (około 10 dkg) mączki cukrowej, sok i otartą skórkę z połowy cytryny, i łyżkę kremowej śmietanki, tj. tyle, aby masa dała się równomiernie rozsmarować na ciemnym kremie. Ostatnią warstwę stanowi druga połowa ciemnego kremu. Tort jest gotowy. Wierzch przybiera się wedle upodobania, polewając czekoladą, owocami kandyzowanymi lub tylko siekanymi migdałami, wymieszanymi z grubym cukrem kryształowym.

TORT SACHER Z BIAŁEK. Po upieczeniu strucli świątecznych pozostają zazwyczaj białka jaj, z których doświadczona gospodyni użyła do ciasta tylko żółtek, gdyż dodane białka powodują szybkie czerstwienie pieczywa. Z pozostałych białek upieczemy tort. Potrzebna nam będzie tego piany z 6 białek, 10 dkg czekolady rozmiękczonej w ciepłej wraz z 8 dkg masła, utrzymy doskonale, dodamy 15 dkg cukru, ucieramy dalsze 10 minut, poczem damy połowę piany i dosypujemy powoli 8 dkg mąki, wkońcu przychodzi reszta piany. Lekko wymieszaną masę wlewa się do formy i piecze w lekkim piecu. Na drugi dzień tort się przecina (nawoskowaną nitką), napelnia ją jakimś kremem lub marmoladą. Wierzch pokryć można polewą czekoladową.

Se. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Bardzo praktycznym wynalazkiem są małe obciążki służące do przytrzymania gorących ziemniaków, czy też marchwi lub innych jarzyn. Ułatwiają one obieranie jarzyn i owoców, chroniąc ręce przed brudzeniem się. Na naszym zdjęciu widzimy jak należy się posługiwać obciążkami.

7 ♦ DNI ♦ DOBREJ ♦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.		Tydzień 51		Grudzień		Dni 31	
Niedziela	13	Łucji i Otyli	Rosół consomme. Paszteciki francuskie z mózdzkiem, Pularda pieczona w garniturze z jarzyn. Krem karmelowy z bitą śmietaną. Kolacja: Zimna polędwica z tatarskim sosem.				
Poniedziałek	14	Nikazego	Kapuśniaczek z plasterkami parówek. Spaghetti z grzybami. Pieczeń nerkowa z ziemniaczkami i marchewką. Jabłka pod pianką. Kolacja: Kalafior i brukselka z masłem.				
Wtorek	15	Fortunata	Zupa grochowa z grzankami. Jaja sadzone na szpinaku. Pieczeń barania "gigot" z czerwoną kapustą. Kruchy placek z serem. Kolacja: Knedel serwetkowy z grysiku i serem.				
Sroda	16	Adelajdy i S. dn.	Krupnik na śmietanie. Włoska kapusta duszona z gruszkami i ryżem. Kuropatwy pieczone w słonince z makaronem. Krem z konfitur malinowych z waflami. Kolacja: Wędzone ryby / płastugi, szproty etc./				
Czwartek	17	Kazarka	Zupa jarzynowa puree z grzybkami. Kotlety ziemniaczane z sosem gulaszowym. Zrazy siekane na grzybach z kaszą tatarską. Kompot z jabłek i suszonych śliwek / ewent. ze słoików. Kolacja: Flaczki z parmezanem.				
Piątek	18	Wacława i S. dn.	Ziemniaczanka na grzybku. Brukselka w białym sosie z cienkim makaronem. Sandacz lub szczupak w sosie sardelowym z ziemniaczanymi krokietami. Legomina ryżowa. Kolacja: Marynowane śledzie z chlebem.				
Sobota	19	Emezjusza i S. dn.	Zupa z mózdzku. Biała kapusta z wody z rumianem masłem. Kaczka pieczona z przysmażanymi ziemniaczkami. Szarlotka w kruchem cieście. Kolacja: Wątróbka gęsia z ryżem.				

HOCKI-KLOCKI

ŚLADAMI „KRÓLA MODY”



CHARLIE

Klient do pośrednika małżeńskiego:
— Czy nie ma pan jakiejś Amerykanki dwukrotnie rozwiedzionej?... Rys. Charlie.

Rozwiązania z N-ru 49-go.

WYCIECZKA GÓRSKA.

Ponieważ obaj przyjaciele wznosili się na minutę 6 metrów wwyż, więc doszli do szczytu jednocześnie. Długości obu dróg nie odgrywają roli.

BOADICEA I KLEOPATRA.

Od narodzin Kleopatry do śmierci Boadicei upłynęło 129 lat, lecz ponieważ suma lat ich życia wynosi 100 lat, więc między śmiercią Kleopatry a urodzinami Boadicei musiało upłynąć 29 lat. Dlatego Boadicea urodziła się 29 lat po śmierci Kleopatry w roku 30 przed Chrystusem — to znaczy w roku 1 przed Chrystusem.

TRZY MAŁŻENSTWA.

Pelagia była żoną Bonifacego, Kornelja była żoną Serwacego, Leokadja była żoną Pankracego.

Dokończenie ze str. 12.

Znanym był też „zegar“ w świątyni Ozyrysa w starożytnym Egipcie. Składał się on 360 naczyń, do których kolejno wlewali kapłani mleko. Płyn wyciekał z naczynia w ciągu 24 godzin. Wtedy napełniano następny dzban. Zaznaczyć należy, że naczynia tworzyły nietylko zegar, ale także kalendarz.

Klepsydra znana i używana po dziś dzień przez urzędy pocztowe, lekarzy, a nawet kucharki w kuchni — znana i używana była w Egipcie jeszcze w XVII wieku przed nar. Chr. Klepsydra-piasecznica jest odmianą zegaru wodnego.

W wiekach późniejszych zadziwił świat Boetius, który wybudował sławny zegar wodny dla króla Burgundji. Zegar ten wskazywał nietylko godziny, ale nawet obroty planet.

Rzecz oczywista, że zegar Boetiusa, a także inne wynalazki z zakresu zegarmistrzostwa w tym czasokresie były kosztowne i nie każdy mógł sobie na nie pozwolić. To też w dawnych miastach dowiadywano się godziny od specjalnego strażnika oznajmiającego porę dnia, zapomocą bicia w dzwon itd. Dla użytku prywatnego robiono świece palące się przez pewien określony czas i wymyślano szereg innych sposobów, pozwalających podzielić dzień na godziny.

Czasy po Piotrze Henleinie przynoszą olbrzymi rozkwit zegarmistrzostwa. Z XVII

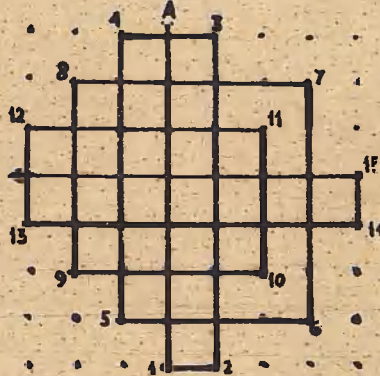
ZADANIE MATEMATYCZNE.

989.010.989 pomnożone przez 123.456.789 daje liczbę 122.100.120.987.654.321, w której ostatnie dziewięć cyfr idą w odwrotnym porządku.

IJCZBA 1927.

$$21^1 - 11^2 = 1927.$$

PODROŻ AUTOMOBILISTY.



Z rysunku (gdzie pominięte przez podróżnika drogi nie są zaznaczone) wynika, że może on przejechać 70 km, robiąc tylko 15 skrętów. Zakrety są ponumerowane w tym porządku, w jakim je robił automobilista.

PROBLEM PITAGORASA.

„Kwadrat zbudowany na przeciwprostokątnej trójkąta prostokątnego”, rzekł Pitagoras do swej siostry, „równa się sumie kwadratów zbudowanych na dwóch pozostałych bokach”.

„Czy tak jest naprawdę?” zapytała Eureka.

„Ależ z pewnością” potwierdził Pitagoras.

„Ale przypuśćmy, że to będzie równoboczny trójkąt prostokątny” — powiedziała Eureka.

„No więc?”

„Zdaje mi się, że w takim wypadku przeciwprostokątna nie może być większa od dwóch pozostałych boków. Wobec tego nie miałbyś racji, Pitagorasie”.

„Tak by się zdawało”, rzekł Pitagoras, drapiąc się w głowę. „To musi być chyba jakiś wyjątek”.

Co można zarzucić ich rozumowaniu?

HUMOR ZAGRANICZNY

ZRAŻONY.



— Nie czeka pan na pociąg ratowniczy?
— Nie! Jedno doświadczenie mi zupełnie wystarcza. Wolę wrócić do domu pieszko...

„Rie et Rac”

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZABAWKI NA CHOINKĘ.

Pan Kanarek i pan Wróbel mieli swym liczny dzieciakom kupić zabawki na choinkę. Obydwaj wybrali się po zakupy do tego samego małego sklepiku, lecz każdy o innej porze dnia. Jednak w sklepie wykupiono już niemal wszystkie zabawki, z wyjątkiem statków parowych po 40 gr., piłeczek po 30 gr., laleczek po 20 gr., i trąbek po 5 gr. Nasi panowie zakupili po kilka zabawek każdego rodzaju i każdy zapłacił za dwadzieścia jeden nabytych przedmiotów 2 zł. 40 gr., przy czym pan Wróbel przyniósł do domu więcej trąbek, niż pan Kanarek. He zabawek każdego rodzaju kupił pan Kanarek, a ile pan Wróbel?

i XVIII wieku pochodzą prawdziwe arcydzieła sztuki zegarmistrzowskiej — tembardziej zdumiewające, że ówczesni mistrzowie nie posiadali precyzyjnych przyrządów i narzędzi. Sławne zegarki-liliputy mieszczące się w pierścieniach czy bransoletach są dziś przy rozwoju techniki nader rzadkie i kosztowne. Łatwo sobie wyobrazić ile benedyktyńskiej cierpliwości i uporu wykazywał zegarmistrz z przed laty, tworząc swe małe arcydzieła.

Zegar regulujący życie człowieka, wydzwanający godzinę jego urodzin i śmierci stał się bliski człowiekowi. Był niejako jego przyjacielem czy jednym z domowników — żywym — wskazującym drogi i czasy, ale zawsze milczącym i stojącym na uboczu. Może właśnie dlatego zarówno zegarmistrz, jak i artysta dający oprawę dla mechanizmu ze specjalnym pietyzmem odnosili się do zegarów i tworzyli arcydzieła. Temu specjalnemu sentymentowi człowieka dla zegaru należy przypisać, że wiele wspaniałych okazów czasomierzy stanowi kosztowne ozdoby największych muzeów.

W dziedzinie zegarmistrzostwa olbrzymie zasługi położyli nietylko ludzie specjalizujący się w konstrukcji zegarów, ale przede wszystkim wielcy wynalazcy i inżynierowie różnych czasów, jak Fulkon i in.

Do najslawniejszych zegarów świata należy słynny zegar w katedrze strasburskiej.

Zegar ten jest równocześnie kalendarzem i planetarjum, a ozdobiony jest wieloma postaciami, które przesuwały się symbolizując dni, miesiące, pory roku... Jednym z największych zegarów świata jest londyński Big-Ben, znajdujący się na wieży westminsterskiej, którego bicie znają słuchacze radiowi chyba w całym świecie. Zegar westminsterski posiada cztery cyferblaty po czterech stronach wieży. Każdy z nich ma średnicę 8 m, a wskazówki tego olbrzyma liczą po trzy i pół m. Wahadło waży ponad 200 kg.

W ostatnich latach rozpowszechniły się bezsprzecznie jedne z najdoskonalszych — zegary elektryczne. Funkcjonują one bez szmeru i są bardzo punktualne. Pierwsze zegary elektryczne zbudowane zostały przez Steinheila (1839) i Wheatstone (1840). Od tego czasu ulepszone je i dziś stanowią one ostatnie słowo techniki zegarmistrzowskiej.

Warto wspomnieć jeszcze, że przemysł zegarmistrzowski grupuje się w danych krajach w pewnej tylko okolicy. I tak w Niemczech określił zegarmistrzów jest Schwarzwald, we Francji zaś miejscowość znana z powodu fabryk zegarków, to Besançon.

Zegar elektryczny jest dziś najnowocześniejszą formą czasomierza. Co przyniesie nam jednak przyszłość? Czy będą to zegary atmosferyczne? Przyszłe lata i w tej dziedzinie przygotowują wiele zapewne zmian.

J.

To warto poznać..

NA SCENIE.

W teatrze krakowskim im. J. Słowackiego po komedji „Arcysofer Ewa“, z Pawłowską, Maduszkówną, Bięgańskim i Węgrzynem, dobrze odtworzającymi role główne, weszła na afisz komedja amerykańskiego pisarza Samsona Raphaelsona „By rozum był przy młodości“.

Jak zauważył jeden z krytyków komedji tej, pokazanej poraz pierwszy w Polsce, możnaby dać tytuł „Szansa starszych panów wciąż rośnie“. Bo anegdota sztuki przez usta dwóch młodocianych bohaterów mówi, że kobiety wola mężczyzn po czterdziestce, aniżeli młodych, wysportowanych nawet amantów. Temat został ujęty oryginalnie, bo autor bohaterami sztuki uczynił komedjopisarza i aktorów, którzy niezawście dobrze zdają sobie sprawę, gdzie się kończy ich życie prywatne a zaczyna rola, względnie nadzwrot.

Komedja została dobrze wyreżyserowana przez Karbowskiego i dobrze również główne role zagrali W. Nowakowski (Gaye), Z. Modzelewski (Dick), Wroński, a doskonałą postać stworzył Fabisiak (Flogdel). Kreacje świetną w roli Lindy daje Z. Jaroszewska finyzyjnie ceniując przeżycia dziesięć, w którym tajona młodość rozbudziła dojrzała kobiecość. Psychologiczne przemiany i załamania tej kobiecości Jaroszewska odwarza znakomicie.

Teatr krakowski wznawia „Krowoderskich zuchów“ Stefana Turzkiego, by tem przedstawieniem zadokumentować jubileusz 25-letnia pracy pisarskiej i 40-lecie pracy aktorskiej autora barwnego i tak popularnego wodewilu. Turzki jest dzieckiem Krakowa, ale jego sztuki zna cała Polska, a i on niemal całą za lat swej młodości przemierzył, grywając w teatrach wędrownych, zwłaszcza Małopolski i Wielkopolski. Jako aktor jest Turzki bardzo sumienny i pracowity, każda jego rola ma nie tylko głowę i nogi, ale także serce. Duże zasługi pomógł Turzki dla polskiego teatru ludowego, zarówno jako organizator placówek teatralnych i reżyser, ale i jako autor 30 sztuk popularnych.

W Warszawie w Teatrze Letnim damo rozkoszną premjere, na którą się jeszcze nikt nie skrzywił. Wszyscy się bawia doskonale i pieją z entuzjazmem. To niezrównany mistrz dowcipu, sentymentu i piosenki Julian Tuwim dał kapi-

tałną przeróbkę farsy Dobrzańskiego „Żołnierz królowej Madagaskaru“. Dowcipne dekoracje Daszewskiego „zmieniające — jak zauważył Boy-Zeleński — owe jakże szare czasy w tęczową grę kolorów, orgie tiurniur, rajtroczków, kapeluszy i pienistych desens“, dopomogły waleń do sukcesu widowiska, w którym dwie niezrównane kreacje dają Mira Zimińska i Marjusz Maszyński. Z reszty licznego zespołu na wyróżnienie zasługują Gellówna, Macherska, Zabczyńska, Wierzejska, Pawłowski, Kaden, Borowy, wszyscy doskonale pod batutą reżyserską Warneckiego.

W Teatrze Miejskim w Katowicach dużym powodzeniem cieszy się sztuka Kennedy'ego i Deana „Tessa“, przygotowana dobrze reżysersko przez Pobóg-Kielanowski. Na czoło wykonawców wysunęli się Zofia Barwińska (Flora), Stanisław Kosztzewski (Birbaum), Grzeska (Teresa) i Czajkowski (Dodd). Piękną oprawę dekoracyjną dał Janutowski. Ostatnio Teatr Miejski wystawił poleźną tragedję K. H. Rostrowskiego „Niespodzianka“, w której świetną kreację matki daje Wanda Siemaszkowa. Rolę ojca odwarza Godlewski. (b).

NOWE KSIĄŻKI.

Tym razem kilka słów należy o książkach nowych, ale i o kilku dawnych, zawsze ciekawych i aktualnych, a obecnie i choćby z tego powodu, że autorem ich jest Arkady Fiedler, niedawny laureat nagrody literackiej miasta Poznania.

Fiedler w krótkim czasie wysunął się na czoło polskich literatów-podróżników, a jego zbiór feljetonów z podróży do Ameryki Południowej, wydany p. t. „Ryby śpiewają w Ukajali“, zaliczony został do najwybitniejszych książek ubiegłego sezonu wydawniczego. Fiedler swe załnterjesowania podróżnicze przedwzyskiem wykrystał najpierw dla poznania całej przyrody polskiej i część wrażeń opisał w pierwszym dziełku p. t. „Przez wiry i porchy Dniestru“, dokumentując tą publikacją, jakim jest entuzjasta przyrody i wielbicielem piękna polskiego. Gdy pojechał do Brazylii, oszalał na głowę z egzotyczną przyrodą, na której życie patrzył jak na niezwykle widowisko. W puszczy, w piabwie i zwierzyńcu znalazł najlepszych przyjaciół. Poświęcił im książkę „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele“, która później weszła w skład nowego tomu

„Zwierzęta z lasu dziewiętego“. Jedną to z najpiękniejszych książek dla młodzieży, choć i czytelnik dorosły znajdzie w niej i dla siebie wiele nieprzenijających wartości.

„Ryby śpiewają w Ukajali“, to jak dotąd najwybitniejsze dzieło Fiedlera, zarówno pod względem literackim i artystycznym. Jak i dogłębnego zrozumienia tajemnic przyrody. Objawia się ona Fiedlerowi w pełnej oszalałającej krasie, mie tając przed nim i swych potwornych zbrodni. Raj przyrody nad brzegami Amazonki demonstruje autorowi i swoje piekło, gdzie szaleje masowa orgia wzajemnego pożerania się i syceńcia popędu picinowego. Syntezą tej niesamowitej wizji puszczy, jaką dał Fiedler, są jego słowa: „gorący las, miazpasy makabryczna orgia, pełen wybuchów zmysłowości i równocześnie zgrzytów nie-nawieści...“.

Zresztą książkę Fiedlera nie trzeba polecać. Reklamują się one same i swą treścią i doskonałą formą. Czekamy na nowe dzieło Fiedlera „Kanada pachnie żywicą“.

(swb).

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„As — 44“: Odpowiedzi możemy udzielić dopiero po dokładnym zapoznaniu się z kompozycją i tekstem.



NIEDZIELA 13 XII

- 8.00 Audycja poranna.
- 9.00 „W 350-tą rocznicę zgonu króla Stefana Batorego“. Transmisja z Grodna nabożeństwa, podniesienia sztandaru króla Stefana Batorego oraz przeglądu wojska.
- 10.30 Tańce symfoniczne.
- 12.03 Koncert rozrywkowy.
- 14.15 „Moje zwierzątko“ — opowiadanie.
- 14.30 Muzyka lekka.
- 15.30 „Audycja dla wsi“.
- 16.30 Fragment słuchowiskowy: „Lazar“.
- 17.00 Koncert symfoniczny.
- 19.00 „Rzół oka na najnowszą powieść polską“ — szkice literackie.
- 19.20 Koncert rozrywkowy.
- 21.00 „Na wesolej lwowskiej fali“.
- 21.30 Arie i pieśni kompozytorów francuskich i włoskich.
- 22.00 „Pasierbice sygnał“ — reportaż muzyczny.
- 22.30 Muzyka taneczna (płyty).

PONIEDZIAŁEK — 14, XII

- 11.30 Audycja dla szkół.
- 12.03 „Z muzyki francuskiej“.
- 15.15 Muzyka lekka (płyty).
- 15.55 „Wszystkiego po trochu“.
- 16.30 Koncert orkiestry wojskowej.
- 17.00 „Udział Polski w dyplomacji europejskiej“ — odczyt.
- 17.15 „Pól czarnej i piosenka“ — lekki koncert.
- 17.50 „Co się dzieje w kajuzy“ — pogadanka.
- 19.00 Audycja strzelecka.
- 19.30 Recital fortepianowy Beli Bartoka.
- 20.00 Mała Orkiestra P. R.
- 21.00 Słuchowisko p. t. „Wizyta u Goethego“.
- 22.00 Koncert symfoniczny.
- 23.00 Muzyka taneczna.

WTOREK — 15, XII

- 6.30 Audycja poranna.
- 11.30 Audycja dla szkół.
- 12.03 Tańce różnych narodów (płyty).

- 15.15 Koncert.
- 16.30 Pół godziny pogodnej muzyki.
- 17.00 „Dni powszednie państwa Kewalskich“ — powieść mówiona.
- 17.15 Recital śpiewaczy Valborgi Landberga.
- 17.50 Monolog Teodora Bujnickiego.
- 18.10 „Sport po miastach i miasteczkach“.
- 19.00 Dyskutujemy: „Czy roboty publiczne opłacają się gospodarzom i społeczeństwu?“.
- 19.20 Koncert Małej Orkiestry P. R.
- 20.00 Rozmowa muzyka ze słuchaczami radia.
- 20.15 Koncert symfoniczny.
- 22.30 „Pisarze zapomniani“ — szkice literackie.
- 22.45 Muzyka taneczna.

ŚRODA — 16, XII.

- 11.30 Audycja dla szkół.
- 12.03 Koncert orkiestry wojskowej.
- 15.15 Szlemińska, Zabajda-Sumicki, Czaplinski (płyty).
- 16.10 Kakielki śląskie: „Wielki sekret“ — audycja dla dzieci.
- 16.30 Koncert w wykonaniu Łódzkiej Orkiestry Salonowej.
- 17.00 „W walce ze śpiegostwem“ (odczyt III).
- 17.50 Wywiad fikcyjny: „Rozmowa ze Stanisławem Brzozowskim“.
- 18.50 „Nowozy organiczne“ — pogadanka.
- 19.20 Kwintet Stefana Rachonia.
- 20.00 Muzyka lekka.
- 21.00 Koncert chipinowski w wyk. Alfreda Hochne'a.
- 21.30 „Polska opowieść o E. T. Hoffmannie“ — audycja.
- 22.15 Wieczorny koncert rozrywkowy.
- 23.00 Muzyka taneczna.

CZWARTEK — 17, XII

- 6.30 Audycja poranna.
- 11.30 Poranek z Filharmonii Warszawskiej dla młodzieży szkół powszechnych.
- 12.03 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
- 15.15 Koncert Tria Polskiego Radja.
- 16.20 „Przyroda w grudniu“ — pogadanka.
- 16.35 Wiazanki melodyj.
- 17.15 Koncert w wykonaniu Kwartetu instrumentalnego.
- 17.50 „Ukraińskie instytuty naukowe“ — odczyt.
- 19.00 Godzina lekkiej muzyki.
- 19.45 Koncert solistów.
- 20.25 „Mordy — miasto szdekarek“ — feljton.
- 21.00 „Tańce i melodie polskie“ — koncert.
- 21.30 „Sylwetki kompozytorów polskich“ — „Adam Wieniawski“.
- 22.15 Muzyka taneczna.

PIĄTEK — 18, XII.

- 6.30 Audycja poranna.
- 11.30 Audycja dla szkół.
- 15.15 Fragmenty opey Verdjęgo (płyty).
- 16.30 Koncert Małej Orkiestry P. R.
- 17.00 „Do kraju cygar i trzcin cukrowej“ — feljton.
- 17.15 Muzyka (płyty).
- 18.30 Teatr Wyobrazni wznawia cykl dialogów Platona — cz. I. p. I. „Eulifron“.
- 19.15 „Z pieśnią po kraju“.
- 19.55 „Harfa, cymbalki i klawosyn“ — IV audycja z cyklu „O instrumentach orkiestry symfonicznej“.
- 20.15 „Maria“ — opera Stalkowskiego w 3-ch aktach.
- 23.00 Muzyka taneczna.

SOBOTA — 19, XII.

- 6.30 Audycja poranna.
- 11.30 „Śpiewajmy piosenki“.
- 12.03 Koncert zespołu Pawła Rynasa.
- 14.30 Słuchowisko dla dzieci „Gwiazdka Marcina“.
- 15.15 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
- 16.15 „Na północy“ — koncert.
- 17.00 Koncert solistów.
- 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
- 19.30 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R.
- 21.30 „Na dobranoc“ — audycja muzyczna.
- 22.00 „Wesola syrena“.
- 22.30 Robert Schumann: Fantazja C-Dur op. 17.
- 23.00 Muzyka taneczna (płyty).

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca. Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doreczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doreczeniowego), a nie wprost do Administracji.